GAZETA LITERACKA

DODATEK MIESIĘCZNY GAZETY NIEDZIELNEJ

NR 1 LONDYN, 27 SIERPNIA 1950 ROK I

STANISŁAW ZADROŻNY

JERZY BERNANOS

Śmierć Georges Bernanos wywołała dość liczne artykuły nie tylko w prasie francuskiej, ale i to może przede wszystkim, w prasie innych krajów.

Zwykła to rzecz, że rozważanie śmierci pisarza staje się jednocześnie sądem żyjących nad jego postawą pisarską i jego dorobkiem. Jest to najczęściej sąd pobieżny, ostrożny, rzadko staje się surowy, gdyż pamięć śmierci jest jeszcze żywa.

Bernanos ma w sobie dziedzictwo krwi hiszpańskiej i lotaryńskiej. Przodkowie jego bowiem przywędrowali z Hiszpanii i osiedlili się w Lotaryngii. Żona pisarza nosi nazwisko, którego dźwięk mówi sam za siebie. Pochodzi w prostej linii od jednego z braci Joanny d'Arc.

Późno objawia się w Bernanosie powołanie pisarskie. Gdy pisze swą pierwszą książkę ma lat 38. Był wtedy agentem ubezpieczeniowym. Tę swoją pierwszą książkę pisał w pociągu, w poczekalniach kolejowych, w kawiarniach. Przyzwyczaił się do tego sposobu pisania. „Piszę — mówi Bernanos o sobie — na stołach w kawiarniach, tak jak ongiś pisywałem w przedziałach pociągów, żeby mnie nie zwiodły twory mojej wyobraźni, żeby w tym nieznajomym, który mnie mija, odnaleźć słuszną miarę radości i cierpienia".

Pierwsza książka Bernanosa nosi tytuł: „Pod słońcem szatana". Jest w swej treści głęboka, w formie świeża, nowa.

Halevy, który podówczas był redaktorem Cahiers Verts u Grasseta, gdy przeczytał rękopis tej pierwszej książki Bernanosa, powiedział:

— Przychodzi pan za wcześnie, albo za późno.

Tak więc Halevy w sposób najbardziej prawdziwy określił postawę pisarską Bernanosa. Zasady, o które walczył, którym służył, owe fundamenty, na których budował całe misterne tworzywo swej myśli pisarskiej, nie istniały w tej rzeczywistości, w jakiej żył. Był przeto piewcą takiej epoki, która minęła lub też był zwiastunem takiej, która przyjść musi. On w to wierzył. Dlatego w walce, jaką podjął, był tak żarliwy, zaciekły, namiętny. Równie zapalczywie walczył z duchem pogańskim, jak i z katolickim faryzeizmem.

Posługiwał się Bernanos formą, która nie ma nic z misternego baroku Mauriaca. Jest to forma o cechach żywiołowych. Myśl kłębi się w nim gwałtownie, nie ma czasu, by ją polerować. Stąd często taka surowość, chropowatość, stąd strony całe przypominające manifesty, pełne głębokiej mądrości i cierpienia.

Schopenhauer, gdy mu zarzucano, że w życiu prywatnym postępuje zgoła odmiennie od tego, co pisze w swoich książkach, odpowiedział:

— Jestem drogowskazem. Drogowskaz nie potrzebuje chodzić. —

W postawie Bernanosa nie było nic z łatwizny, nic z kompromisu. Nie pisał dla poklasku tłumu, dla przypodobania się. Wierzył w to, co pisał. To co zalecał innym — sam praktykował. Żył prawdą, bo nie wyobrażał sobie, by można żyć inaczej. „Jestem skromnym pisarzem--pisał w jednym z artykułów — ale jeżeli są czytelnicy, którzy mnie czytają i cenią, to oni wiedzą, że nigdy nie kłamię".

Taka postawa życiowa nie jest łatwa. Komplikuje życie. Doznał tego na sobie Bernanos. Zmuszała go ta postawa do częstej zmiany miejsca, do tułactwa. Przenosił się z miejsca na miejsce, z kraju do kraju, z kontynentu na kontynent. Miał liczną rodzinę i te wędrówki nie były sprawą przyjemną ani łatwą.

W roku 1934 wyjechał z Francji do Hiszpanii. Osiadł na Majorce. Tam właśnie napisał: „Dziennik wiejskiego proboszcza", „Historię Mouchette" i wreszcie „Wielkie cmentarze księżyca". Ta ostatnia książka była atakiem przeciwko totalizmowi generała Franco. Przedstawia okrucieństwa wojny domowej i jednocześnie ukazuje deprawację, jakiej uległo sumienie katolickie pod wpływem złych sił, jakie wyzwolił totalny system polityczny. Jad zatruł nie tylko sumienia katolickie, ale nawet sumienia kapłańskie. Bernanos mówi wyraźnie o „świętokupcach i mordercach". Ściągnął na siebie gniew zwolenników gen. Franco i kleru hiszpańskiego. Książka o mało nie znalazła się na indeksie. Jednak w obronie Bernanosa i jego książki stanął sam Papież Pius XI. Ale Hiszpanię Bernanos musiał opuścić.

O spokój dla pisarza miary Bernanosa jest coraz trudniej. Okres rozkładu życia politycznego we Francji, a potem Monachium wywołują w nim uczucia obrzydzenia. O tym okresie tak pisze Bernanos: „Trudno było człowiekowi nie tylko pisać, ale nawet oddychać".

Opuścił Francję i wyjechał do Ameryki Południowej, udając się do Paragwaju, a potem osiedlając się w Brazylii.

Pogodził się z Francją zaraz po kapitulacji. Połączył się z ludźmi walki. Stanął po stronie de Gaulle'a, który był jego kolegą szkolnym jeszcze z kolegium Jezuitów na rue Vaugirard. Oddał swój talent na użytek sprawy. Współpracował z radiem londyńskim, posyłał swe artykuły do tajnej prasy francuskiej. Wszystkie artykuły z tego okresu zostały wydane w książce pt.: „Droga krzyżowa dusz".

Pisarz wziął udział w wysiłkach Francji Walczącej z zapałem. Był świadomy, że walczy nie tylko o honor Francji, ale i o te zasady, które w wojnie zostały sponiewierane. W tych marzeniach swoich poprzez etapy wojny widział złączone dwa pojęcia: miłość i wolność. „Tylko miłość — powiada — ma ostatnie słowo. Kochać może tylko człowiek wolny".

W militarnym zwycięstwie tej wojny nie odnalazł Bernanos najmniejszego znaku nadziei. Przeciwnie dostrzegł przed ludzkością przepaść wtedy, kiedy inni oddali się złudzeniom. W swej autobiografii w ten sposób to określił: „Najszczególniejszym zjawiskiem obecnej wojny jest to, że systemy totalisty czne zupełnie się nie demokratyzują, natomiast systemy demokratyczne nasiąkają duchem totalizmu"

Dlatego Bernanos w powikłaniu zjawisk życia powojennego, w upadku zasad, bez których jest trudno sobie wyobrazić ciągłość życia cywilizacyjnego, podnosił głos w obronie sprawy polskiej wtedy, gdy inni milczeli. „Nie ośmielają się — pisał Bernanos — od dawna wymówić słowa Polska ze strachu, by nie uważano ich za reakcjonistów, owe tysiące intelektualistów, burżujów, którzy się podają za marksistów... i z łakomymi minkami mówią między sobą o egzekucjach ulicznych i czystkach".

Zjawiska współczesnego kryzysu cywilizacyjnego badał Bernanos z całą skrupulatnością. Jego spostrzeżenia pełne były niepokoju. Widział, że liczba i maszyna wyprzedziły znacznie sprawy ducha. Człowiek się wynaturzył. Upodobnił się do mechanicznego robota, starającego się nadążyć za rytmem ogłupiających maszyn. Poświęcił tej sprawie książkę pt.: „La France contre les robots". Jest to miejscami jakby manifest pisany w gniewie i natchnieniu. „Cywilizacja maszyny — powiada Bernanos w tej książce — jest cywilizacją techników i według prawideł techniki głupiec może osiągnąć najwyższe sukcesy, nie przestając być głupcem". W innym miejscu powiada: „Świat, gdzie dominuje siła jest światem ohydnym, ale świat opanowany przez liczbę jest — podły".

Według Bernanosa mechaniczny świat maszyny, oparty na liczbie i wynikający z pogardy ducha stworzył przychylne sobie systemy życia zbiorowego. Dlatego też Bernanos z jednakową gwałtownością zwalczał zarówno amerykański jak i sowiecki system mechanicznych robotów. „Jeśli chodzi o Rosję i Amerykę — mówi Bernanos—to te ustroje niegdyś przeciwne sobie ideologicznie są związane ze sobą technicznie".

Ostatnie chwile życie Bernanosa przypadły na gwałtownie niemal z dnia na dzień pogłębiający się kryzys cywilizacyjny. Świat jest uparty w dążeniu do zła. Bernanos śmierć miał trudną. Być może, że obsiadły go wszystkie widziadła i zmory współczesnego życia. Głosu już nie mógł podnieść, ani pióra wziąć do ręki, bo życie w nim się dopalało. Wreszcie zgasło. On sam życiem dał świadectwo prawdzie, której służył wiernie. Przyszedł na ten świat zawcześnie. Był prorokiem, który głosił wiarę w odrodzenie prawdy i miłości.

Stanisław Zadrożny

CIOSY I UNIKI

TRZECI tom wyszedł jako pierwszy — zgodnie z tradycją wszelkich wydawnictw historyczno - wojskowych. Trzeci mianowicie tom dziejów „Polskich Sił Zbrojnych w drugiej wojnie światowej". Poświęcone jest to opasłe tomisko (972 stron) historii Armii Krajowej.

Jak słychać, ten ciężki kaliber historiografii obudził wiele zastrzeżeń, szczególnie wśród aktorów wydarzeń opisanych w tomie, tych mianowicie, którzy się równocześnie nie pokusili o laury historiografów.

Istotnie nienajlepiej, kiedy aktorzy są równocześnie autorami lub też autorom narzucają swe aktorstwo. W każdym razie o wiele słuszniej być autorem a później aktorem, niż odwrotnie, i na scenie i w życiu.

Podobno dzieje Armii Krajowej posiadają janusowe oblicze: t. zw. sanacyjne i antysanacyjne. Temu pierwszemu o wiele bardziej do twarzy — z historią.

* * *

TOM pierwszy, t. j. dzieje kampanii wrześniowej — jak twierdzą znawcy sztuki wojennej — ma być najpoważniejszy. Tom drugi — o Polskich Siłach Zbrojnych na obczyźnie ma być podobno wielkim popisem aktorów.

Tak czy owak — wysiłek wydawców nad upamiętnieniem dzieła wojennego naszego pokolenia jest ogromny i godny uznania. Po pierwszej wojnie światowej nie zdobyliśmy się na żadną poważną monografię jednostek walczących.

* * *

GENERAŁ Stanisław Kopański ukończył swe pamiętniki, omawiające kampanię wrześniową (sztab Naczelnego Wodza), tworzenie, dowodzenie i boje Brygady Karpackiej, tworzenie Dywizji Karpackiej oraz niezmiernie ciekawe prace sztabu generalnego w Londynie, naświetlające szczególnie interesujące sprawy krajowe.

Generał Kopański jest równocześnie wyjątkowo mocnym aktorem i autorem.

* * *

UROCZYSTOŚĆ w 30-lecie „Cudu nad Wisłą" w Albert Hallu była podniosła i godna naogół. Niestety nastręczyła także nieco zastrzeżeń.

Zdumiewające, jak bardzo była niekombatancka. Prawdziwi żołnierze, to były milczące poczty sztandarowe. A na scenie (z b. małymi wyjątkami) odbywał się popis bardzo gromkich, wojackich i weterańskich pieśni i wierszy autorstwa ludzi, którzy przeważnie za wojskiem chodzili albo i nawet wcale nie chodzili.

Jest kilka pieśni i parę utworów literackich z ostatniej wojny pióra autentycznych żołnierzy. Kto wie, czy to nie są utwory najlepsze. W każdym zaś razie organizatorów kombatanckich imprez obowiązuje choćby tylko porada u — żołnierzy.

Jednym z najbardziej uroczych zjawisk naszej młodości literackiej jest Marian Czuchnowski. Ale czy to nie przesada czynić z niego jedynego barda żołnierskiego czynu?

* * *

ZYGMUNT Nowakowski ma upodobanie do herezji. Tym razem popisał historie o polskiej mowie scenicznej — o pomstę do mowy polskiej wołające.

Dzieło to pojawiło się w starannie wydanej broszurze w układzie graficznym Stanisława Gliwy p.t. „Teatr amatorski" (stron 136) na-

(Dokończenie na str. 8-ej)

JERZY DOŁĘGA KOWALEWSKI

CZERWONE I CZARNE

[Szkic sceniczny]

OSOBY: *URZĘDNIK*
URZĘDNICZKA
DZIWNY UCHODŹCA
KOBIETA

Polski urząd opieki gdzieś na uchodźstwie. Kilku interesantów kończy swoje sprawy i odchodzi. Pozostaje z nich tylko jeden — Uchodźca.

Urzędnik
(Od biurka automatycznie)
Następny...
(Oderwawszy się od papierów, do Uchodźcy, który się zbliżył)
A, to Pan.

Uchodźca
Tak.

Urzędnik
Czym mogę służyć?
(Zaprasza gestem do zajęcia miejsca. Uchodźca siada)

Uchodźca
Ja z dalekiej podróży
i niebardzo wiem, czy — na długo
do was. A przytem...

Urzędnik
Aha, czyż by tranzytem?
Nie z Rosji?... Z Cypru zapewne...
Pan wizę ma?

Uchodźca
Mam wizę sprzed stu lat,
przychodzę z Place del'Alma,
przez świat,
jeszcze bardziej niespokojny, niż za mnie.

Urzędnik
Pan mówi jakoś zabawnie
i gdybym chciał być niegrzeczny,
powiedziałbym — groteskowo.

. . .

Ale może przejdziemy do rzeczy,
muszę wiedzieć —
kto, skąd i w jakiej sprawie.

Uchodźca
Przepraszam. Moja wina,
powinienem był się przedstawić,
bo przecież nikt dotąd nie wie...

Urzędnik
(Trochę zniecierpliwiony)
Więc...

Uchodźca
Proszę się nie zadziwić,
ja się nazywam
Adam Mickiewicz.

Urzędnik
(Bynajmniej nie zdziwiony, wtrąca tonem urzędowym)
Mickiewicz — Adam.
Tu się pierw zapodaje —
nazwisko.

Uchodźca
A potem?

Urzędnik
Imię, urząd czy stanowisko,
i — gdzie się strona rodziła.
Rzecz naturalna, krótko.

Uchodźca
Gdzieś w okolicach Nowogródka.

Urzędnik
Zajęcie?

Uchodźca
Pisałem. Uczyłem moich Polaków.

Urzędnik
Kuratorium?

Uchodźca
Wilno.

Urzędnik
Wilno? Czemu nie Kraków?

Urzędniczka
(W stronę Uchodźcy)
Wypełniłam kartkę na Pana.

Urzędnik
(Emfatycznie)
Nazwisko chlubnie znane,
(Z niejakim sentymentem)
jam „Pana Tadeusza" obkuwał lat osiem...

Urzędniczka
(półgłosem w stronę Urzędnika)
I, pewno, o posadę, o zajęcie prosić
będzie w delegaturze.

Urzędnik
(łaskawie)
Znajdzie się trochę szans.
A gdzie to Profesor wykładał?

Uchodźca
(raczej do siebie)
Tak wszystko dziwnie się składa,
tyle lat naszego tułania,
tyle krwi.i — śmieszności tyle...
(ocknął się)
Ja, przepraszam Pana, — uczyłem
w Paryżu. W College de France.

Urzędnik
To trzeba nam zaznaczyć
w podaniu i — być może.

Urzędniczka
Należy ponadto złożyć —
Curriculum vitae.

Urzędnik
Najoczywiściej. Spyta
każdy, tym bardziej że — nieznajomy
i chyba tutaj kolegów —
nie ma...

Uchodźca
A skąd?

Uchodźca
No, na przykład, — z Jasła lub Tarnobrzegu...

Uchodźca
Nie.

Urzędnik
Trudno.
(cieplej)
Trzeba się jednak ośmielić.
My tu nie tylko chleb żujem,
My tu solidnie pracujem.
(śmieje się)
Pan wie —
„razem m o i przyjaciele!"...

Uchodźca
(też z uśmiechem poprawia)
„m ł o d z i".

Urzędnik
Nic nie szkodzi.
(Wbiega Kobieta z jakimiś łaszkami w ręku)

Kobieta
(jazgotliwie)
Oto mi kiecki dał, —
niech kto ino podszewkę wywróci...

Urzędnik
(z niesmakiem)
Ona się ciągle kłóci,
doprawdy trudno wytrzymać.
(do Uchodźcy)
Jest tu ich sporo takich —
złośliwych.

Uchodźca
Być może — nieszczęśliwych,
doświadczanych z Bożych wyroków...

Kobieta
(jazgocze dalej)
Mnie szlafroku —
nie dali. Chciałam pidżamę,
a on ci swoją damę —
ubrał.

Urzędnik
(zgorzkniale)
Im by wciąż tylko — dawać...

Uchodźca
O, im trzeba dać bardzo wiele.

Urzędnik
Cierpliwości?

Uchodźca
Znajomości —
pokryw, skorup, zniekształceń,
którymi się dusza broni,
w które się dusza obleka
przed ciosem...
(po chwili)
Trzeba spod tego wydobyć —

Urzędnik
Co?

Uchodźca
Człowieka —
ponad rzeczywistość zdradziecką.

Kobieta
(nagle z zaciętą rozpaczą)
Już mi tych moich dziecków
nie wrócą. Ja się o to przestałam pytać.
Aby mi czasem zazgrzyta coś w sercu.
(wybiega)

Uchodźca
(zamyślony)
Tak.
(Milczenie. Urzędniczka zaczyna wystukiwać na maszynie. Przez dłuższy czas słychać terkot klawiszy. Wreszcie skończyła.)

Uchodźca
(do Urzędniczki)
Pani bardzo zajęta?

Urzędniczka
(blado)
Ba, — wiele rzeczy pamiętać
nie trzeba, gdy się pracuje.
Ten urzędowy papier
weselszy bywa, niż — list,
bądź z jakiego punktu na mapie,
gdzie się ma kogoś.

Uchodźca
I cóż?

Urzędniczka
No nic. Piszą, że im niełatwo,
że się trzeba dobrze wysilić,
rzadko się śmieją...
(ożywia się)
Ale, wie Pan, oni wciąż żyją nadzieją —

Uchodźca
Jaką?

Urzędniczka
Oni wierzą —
że będą się jeszcze —
bili.

Uchodźca
(jakby do siebie)
Ci sami.
(znowu czas jakiś milczenie)

Urzędnik
(niespodziewanie z wylewnością do Uchodźcy)
Profesor zostanie z nami, —
podobał mi się Pan, daję słowo,
jak ktoś swój...

Uchodźca
(z uśmiechem)
Spod Łomży czy Mszczonowa..
(po chwili poważnie)
Ach, mój drogi, ów Mszczonów,
Pacanów czy Odolanów,
ojczyzna idylliczna
domów jak gołębniki
i gołębników jak — domy,
objawia nam się teraz
w swej nieznanej dotąd nikomu —
postaci — h e r o i c z n e j.

Urzędniczka
(żywo)
Oni zawsze byli tacy, Profesorze!

Uchodźca
Wiem.
Można — wykruszać
wieczysty proces wzruszeń,
cierpienia i — rośnięcia
dusz. A można mu, jak my — oddać wszystko.
I nawet własną, dumną, Historię — poświęcić.
(Wstaje do pożegnania. Zawija się w płaszcz. Jest sztywny, hieratyczny. Urzędnik i Urzędniczka stoją również)
Gdy płakałem za pierwszym z wywiezionych — Zanem
Wciąż mi ta twarz tak dziwnie we wspomnieniu stała.
Był - że to Zan naprawdę? Ja go przecie znałem
Od dziecka. Bywał — smutny, ważny, roześmiany,
Skupiony, roztargniony, — podobnie jak wszyscy,
Równi mi i jednako kochani i bliscy.

. . . .

Krwawe zachody słońca na śniegu i — czarnych
Kibitek rząd, gotowych do odlotu ptaków...
Wyjrzał z okna na chwilę. Bez ruchu, bez znaku.
I — szklistą ócz powierzchnią społem nas ogarnął.
Tkwiło w niej coć z Meduzy wzroku. Nieczłowiecze.
Zwalczony tragizm doli, snów, marzeń, wyrzeczeń,
Coś co widziałem w oczach otwartych żołnierza,
Który, kulą przygwożdżon, z karabinem w dłoni,
Już martwy, jeszcze w wroga bagnetem uderza
I zagradza mu przejścia i dostępu broni
Po tamtej stronie życia, rozpaczy i klęski...
Wczorajszy — mały człowiek...

Urzędniczka
U m a r ł y...

Uchodźca
Z w y c i ę s k i!
(Kurtyna)

Pisałem w Tengeru,
Afryka Wschodnia.

JÓZEF FRANKIEWICZ

SNY O TEATRZE

Bez długiego obchodzenia sali puszczono w ruch dwa, trzy kapelusze z ręki do ręki i w mig zebrało się jakieś dwa i pół funta na „Dom Aktora". Nie duża suma, ale i obóz niezbyt wielki.

„Intruz" Wiktora Budzyńskiego, na satynowej podszewce komediowej (widzieliśmy jego rzeczy na podszewce jedwabnej) trafił jednak do serc przeciętnych zjadaczy chleba, a chociaż ich w aniołów nie tak prędko przerobi, dał przynajmniej ludziom do myślenia. Ja zaś, patrząc na to dzisiejsze borykanie się z biedą naszych teatrów i ludzi ze sceną związanych, myślałem o nie tak dawnych jeszcze latach, w których jeśli o teatr chodziło, nawet o dość przeciętny teatr, nie grało poważniejszej roli wydatkowanie na ten cel sum, które kto wie, może przy obecnej podaży, starczyłyby na kupno w Londynie gotowego obiektu. I bezdomni polscy aktorzy nie czuliby się jak ludzie na krze, prześladowani myślą: utoniemy, czy się utrzymamy?

Na przełomie lat 1944-1945, a więc w bardzo już dla nas krytycznych czasach, sfinansowano w Jerozolimie szereg przedstawień kosztem kilku tysięcy funtów. Samo wystawienie „Balladyny" kosztowało ponad £ 3.600 (słownie trzy tysiące sześćset funtów, z naddatkiem jeszcze kilkudziesięciu). Jakże by się dziś przydały te pieniądze dla ludzi teatru z prawdziwego zdarzenia, bo tamten, palestyński teatr, choć także polski, był wydarzeniem przypadkowym, poprostu wykorzystano dobrą koniunkturę. A może to był nieudany rorzaj „powiernictwa"?

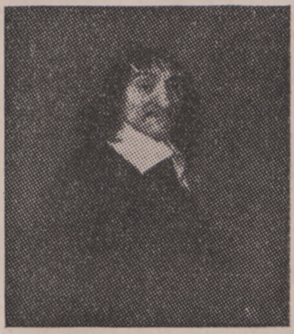
Teatrem pasjonowałem się od małego sztubaka, później zaś w gimnazjum nienawidziłem naszego tercjana tylko za to, że zbyt często ze zjadliwym uśmieszkiem chodził po klasach z dyrektorską obiegówką, zakazującą uczniom wstępu na określony spektakl. Jedynie stary Fiszer i młodszy od niego Lelewicz, obaj z teatru lwowskiego, bez przeszkody przyjeżdżali do nas z monologami, ale to nam nie wystarczało. Było także w Rzeszowie „Urzędnicze Koło Dramatyczne", prowadzone przez bardzo wziętego weterynarza powiatowego. Wspaniały ten czło-

(Dokończenie na str. 8-ej)

JAN WEPSIĘĆ

FILOZOFIA KARTEZJUSZA

(W 350-LECIE ZGONU)



KARTEZJUSZ
(René Descartes)
(1596 — 1650)

FILOZOFIA KARTEZJUSZA

Filozofia Odrodzenia ani w w. XV ani w XVI nie wydała wielkich systemów filozoficznych. Stało się to dopiero udziałem w. XVII, kiedy żyli: Kartezjusz, Malebranche, Spinoza i Leibnitz.

* * *

Naukowa myśl nowożytna począwszy już od czasów Kepplera i Galileusza, tj. od w. XVI, rozwijała się pod urokiem matematyki i wyników jej zastosowania najpierw w astronomii, później w naukach przyrodniczych w ogóle. Matematyka stała się wzorem nauki, ideałem ścisłości. Temu urokowi uległ również i Kartezjusz. I on zapragnął osiągnąć taką pewność w filozofii, jaka stawała się już udziałem przyrodoznawstwa. Z tego źródła rodziły się jego wysiłki około znalezienia niezawodnej metody dla filozofii. Za cechy takiej metody uważał „jasność i wyrazistość". Ale jak w filozofii dojść do twierdzeń, które byłyby jasne i wyraźne, od których można by rozpocząć budowę systemu filozoficznego?

Kartezjusz posłużył się metodą sceptyków: zwątpił we wszystkie prawdy. Za sceptykami dowodził, że poznanie nasze nie prowadzi nas do prawd obiektywnych, bo przecież tylokrotnie stwierdzamy, że zmysły łudzą nas, że brak wyraźnej granicy między snem a jawą, a wreszcie nie jest wykluczone, że jakaś potężniejsza od nas istota wprowadza nas w błąd.

Sceptycy kończyli na zwątpieniu. Kartezjusz przezwyciężył je. Sądził bowiem, że choćby umysł ludzki ulegał błędom, o jakich mówiliśmy przed chwilą, to faktem niezaprzeczonym pozostaje, że człowiek myśli. Jeśli to fakt pewny i oczywisty, nawet w wypadku kiedy mylimy się. Wątpię w to, czy we wszystko lub mylę się — — znaczy: *myślę*. Innymi słowy: choć wątpiłbym w istnienie rzeczy zewnętrznych, choć myliłbym się — jestem jednak pewny istnienia własnej myśli. Choćby ciało ludzkie nie istniało, myśl istnieje ponad wszelkie wątpienie. Pewność istnienia myśli stała się dla Kartezjusza kamieniem węgielnym jego filozofii. Wyjście od duszy w budowie metafizyki stało się wzorem dla pokartezjańskiej filozofii.

Ale nie tylko myśl istnieje. Istnieje podmiot myślący, tj. ktoś, kto myśli. Istnieje więc istota myśląca: dusza. Znane kartezjańskie powiedzenie: „myślę, więc jestem" („cogito ergo sum") jest twierdzeniem, że istnienie myślącej duszy jest pewne.

Kartezjusz nie chciał pozostać idealistą, chciał wyjść poza krąg własnej myśli. Dokonał tego z chwilą, kiedy udowodnił, że istnieje Bóg i świat zewnętrzny.

Obydwa te dowody oparł na istnieniu duszy i fakcie myślenia, posługując się i zasadą przyczynowości i schematem dowodu ontologicznego.

Bóg istnieje, bo skoro istnieje dusza, to nie istnieje ona sama przez się, ale istnieje dzięki przyczynie, która jako ostateczna musi być doskonała. Po wtóre: Bóg istnieje, bo posiadamy ideę Boga (dowód ontologiczny). Idei tej nie wytworzył człowiek; pochodzi ona od Boga. Z idei Boga wynika — jak dowodził Kartezjusz — istnienie Boga jako twórcy tej idei.

Istnienie świata — wywodził Kartezjusz — nie jest pewne bezpośrednio, wymaga udowodnienia. I tutaj także wychodzi nasz filozof od analizy umysłu. Umysł ludzki wykazuje skłonność do uznawania istnienia realnych ciał. Nie jest to jednak skłonność, która prowadziłaby nas do stałego złudzenia. Dusza a więc i umysł ludzki są tworem Bożym. Nie można przypuścić, by doskonały Bóg stworzył umysł, który stale ulegałby złudzeniom pewnej kategorii. Trzeba więc przyjąć, że istnieje świat zewnętrzny.

Jak więc widzimy, odrębność stanowiska Kartezjusza w porównaniu z filozofiami starożytnymi czy średniowiecznymi polega na tym, że nie istnienie świata zewnętrznego, ale istnienie świadomości uznał za niewymagające dowodu.

Drugim problemem, który wyciska piętno na filozoficznym systemie Kartezjusza, to stosunek duszy do ciała. Dusza jest już pojęta nie jako czynnik życia, ale jako myśl, świadomość. Tak pojęta dusza nie jest udziałem wszystkich istot żywych, ale tylko istot świadomych. Cechą duszy jest świadomość.

Cechą ciała jest rozciągłość czyli własności geometryczne. Jedyną formą zmian ciała jest ruch. To zaś, co popularnie nazywamy jakościami ciał, np. barwy, jest — zdaniem Kartezjusza — własnościami subiektywnymi, tzn. istnieją one jako subiektywne reakcje naszych zmysłów. Kartezjusz, uznawszy, że wszelkie zmiany są sprowadzalne do ruchu, życie pojmował jako proces mechaniczny, który rozpoczął się dzięki temu, że jego sprawcą był Bóg.

Problem stosunku duszy do ciała wiąże się ściśle z człowiekiem, gdyż tylko w nim spotykają się obydwie te substancje. Kartezjusz sądzi, że ze względu na różny charakter tych substancji nie oddziaływują one na siebie bezpośrednio. Jedynie przebieg zmian w jednej z nich może wpływać na zmianę kierunku działań drugiej.

Innym problemem, jaki stanął przed Kartezjuszem, było wyjaśnienie stosunku zmysłów do rozumu. Jego zdaniem zmysły mają jedynie cel praktyczny, wskazują co dobre, a co złe. Nie są narzędziem poznania. Jest nim rozum. Wrażenia zmysłowe pobudzają rozum, by uświadomił sobie tkwiące w nim idee wrodzone, które dlatego że pochodzą od Boga, są prawdziwe. Oprócz idej wrodzonych, umysł posiada jeszcze dwa inne rodzaje idej: nabyte i przez umysł stworzone. Idee obydwu tych rodzajów nie posiadają cechy prawdziwości.

Wydawać by się mogło, że skoro Kartezjusz przyjął istnienie idej wrodzonych, których cechą jest niezawodność, to zagwarantował sobie prawdziwość i pewność poznania. Niestety tak nie jest. Rozum, którego właściwością są idee, jest tylko zdolnością przedstawiania sobie pewnych idej. Ale samo przedstawianie nie wystarcza do sądu. Trzeba jeszcze twierdzenia lub zaprzeczenia. A to jest już wynikiem działania woli. Błąd nie jest sprawą intelektualnego aktu przedstawiania, lecz wynikiem aktu decyzji. Nie rozum więc błądzi, lecz wola. Wola ludzka może błądzić dlatego, że jest wolna. Jeśli wola utrzymywałaby się w granicach rozumu, błąd byłby wykluczony.

Rzecz bardzo charakterystyczna, że u racjonalisty Kartezjusza, przyjmującego istnienie idej wrodzonych, ostatecznie teoria sądu nabiera charakteru woluntarystycznego.

* * *

Kartezjańskie rozwiązanie trzech następujących problemów wycisnęło piętno na nowożytnej filozofii: 1) uznanie świadomości i jaźni za niewymagające dowodu, 2) stosunek duszy do ciała łącznie z mechanistyczną koncepcją życia, 3) natywistyczna teoria idej wrodzonych.

Rówieśni Kartezjuszowi i późniejsi filozofowie na swój sposób podejmowali rozwiązanie postawionych przez Kartezjusza problemów. Najbliższych Kartezjuszowi następców interesował przede wszystkim problem stosunku duszy do ciała. Malebranche (1638 - 1715) sądził, że skoro materia i dusza nie mogą na siebie oddziaływać, to widocznie Bóg z okazji zmian, jakie zachodzą w jednej ze substancji, sprawia odpowiednie zmiany w drugiej. Niezależność obu substancji od siebie została więc jeszcze dalej posunięta przez Malebranche'a, niż przez Kartezjusza, który dopuszczał wpływ jednej substancji na drugą w zakresie kierunku.

Hobbes (1588 - 1679) chciał uniknąć trudności, jakie nastręczało wyjaśnienie tego stosunku i dlatego przyjął istnienie tylko jednej substancji: materii. Za Kartezjuszem organizmy uważał za mechanizmy. Świadomość pojmował jako funkcję całych organizmów.

Leibnitza (1646 - 1716) nie zadowoliło żadne z tych rozwiązań i dlatego przyjął nieograniczoną ilość substancji.

W jeszcze inny sposób dążył Spinoza do uniknięcia tych trudności. Doszedł do panteizmu, który będzie przedmiotem następnego szkicu.

Jan Wępsięć

MYŚLI KARTEZJUSZA

O PRACY FILOZOFA

Gdy patrzę okiem filozofa na rozmaite dzieła i przedsięwzięcia ludzi, nie masz jako by ani jednego, które by mi się nie zdało czcze i bezużyteczne — mimo to odczuwam nadzwyczajne zadowolenie z postępu, jaki, w swoim mniemaniu, już uczyniłem, w poszukiwaniu prawdy i czerpię nie mniejsze nadzieje na przyszłość. Owo, jeśli między zatrudnieniami ludzi będących jedynie ludźmi, znajduje się jakieś, które by było trwale dobre i ważne, śmiem mniemać, iż jest nim to, które ja obrałem.

MYŚLĘ, WIĘC JESTEM

...Zastanowiłem się, czy podczas gdy silę się przypuścić, że wszystko jest fałszywe, trzebaż, abym ja, który to myślę, był czymś; i zważając, iż ta prawda: M y ś l ę, w i ę c j e s t e m, jest tak pewna i niezłomna, że wszystkie najskrajniejsze przypuszczenia sceptyków nie są zdolne jej obalić, osądziłem, iż mogę ją przyjąć bez skrupułu za pierwszą zasadę filozofii, której szukałem...

ISTNIENIE BOGA

...Myśl, aby coś doskonałego mogło być następstwem i zależnością od czegoś mniej doskonałego, jest równie odpychająca, jak to, aby coś mogło powstać z niczego, nie mogłem również posiadać tego pojęcia (istoty zupełnie doskonałej — przypisek nasz) sam z siebie: tak, iż pozostało tylko, że pomieściła we mnie natura w istocie bardziej ode mnie doskonała, a nawet posiadająca sama w sobie wszystkie doskonałości, o których mogę mieć jakieś pojęcie, to znaczy, aby się wyrazić w jednym słowie, która jest Bogiem.

...Istnienie Boga, który jest tą tak doskonałą istotą, jest co najmniej równie pewne, jak może być pewnym jakikolwiek dowód geometryczny...

DUSZA JEST NIEŚMIERTELNA

...Dusza jest natury zupełnie niezależnej od ciała, a tym samym nie podlega wraz z nim śmierci; za czym, ponieważ nie widzimy innych przyczyn, które by mogły zniszczyć, musimy w naturalnym sposobie skłaniać się do mniemania, że jest nieśmiertelna...

Z „Rozprawy o metodzie"
(w tłumaczeniu T. Boya-Żeleńskiego)

FILOZOFOWIE HUMANIŚCI

EPOKI ODRODZENIA

Filozofowie humaniści interesowali się wytworami kultury. Dziedzinę kultury zaczęli traktować jako świat niezależny i samoistny, podobnie jak filozofowie przyrody czynili to w swoim zakresie. Do takiego pojmowania, tak przyrody, jak i kultury przyczyniał się stoicyzm, którego silny nawrót pod wpływem starożytnym obserwujemy w wieku szesnastym. Stoicyzm — jak pamiętamy — dowodził, że świat jest zbudowany na podstawie tych samych praw, które są właściwe rozumowi ludzkiemu. Prawa rozumu wszystkich ludzi są te same. W konsekwencji takiego rozumowania dochodzi się do przyjęcia istnienia prawd powszechnych. Ich zwolennicy dowodzili, że można do nich dojść, wyłączając to wszystko, co ma charakter indywidualny.

Takie tendencje ujawniły się w dwu dziedzinach wyraźnie: religii i prawie.

Herbert of Cherbury (1581 — 1648), idąc po tej drodze, tj. eliminując to, co w religiach mu znanych uważał za indywidualne cechy, doszedł do koncepcji takiej religii, której istotę stanowiło tylko to, co wspólne wszystkim religiom, co uważał za pochodzące z natury (rozumnej), zgodne z rozumem, a więc nieomylne. Taką religię nazwał naturalną. Pięć prawd stanowiło jej treść: 1) Bóg istnieje, 2) należy go czcić, 3) cnota i pobożność są najlepszymi formami czci, 4) istnieje życie przyszłe z karą i nagrodą, 5) popełnione grzechy można odkupić. Religia naturalna wielu zwolenników znalazła w wieku osiemnastym.

Co Herbert of Cherbury zapoczątkował w dziedzinie religii, to Holender Hugo de Groot (1583 — 1645), z łacińska po polsku Grocjuszem zwany, zrobił w dziedzinie prawa, stwarzając koncepcję prawa natury. W przeciwieństwie do człowieka wieków średnich, który ład w świecie i społeczeństwie ludzkim uważał za dany od Boga i mający Jego sankcje, Grocjusz rozróżniał dwa rodzaje prawa: stanowione, które jest zmienne i niezmienne prawo natury, które wypływa z niezmiennej natury ludzkiej.

Interesowało Grocjusza zagadnienie, jak powstają społeczeństwa. Sądził, że w naturze ludzkiej istnieje skłonność do zrzeszania się. Właśnie dla zaspokojenia tych skłonności, jak i dla zabezpieczenia swych interesów ludzie łączą się w grupy społeczne, tworzą państwa. Wprawdzie istotą stosunku w społeczeństwie jest umowa, ale ta nie przekreśla natury ludzkiej, lecz jej odpowiada. Idea prawa natury jako jednego dla wszy-

(Dokończenie na str. 6-ej)

STANISŁAW JANICKI

RZECZPOSPOLITA BABIŃSKA

Wiek XVI zwany był w Polsce złotym, państwo było bowiem potężne, społeczeństwo bogate, a rozwój nauk i literatury (Janicki, Kochanowski) zbliżył nas do Włoch, kolebki renesansu. Oprócz wielu godnych naśladowania wzorów kopiowali niestety Polacy bezkrytycznie i złe cudzoziemskie przywary. Zaczęły zanikać już wówczas staropolskie cnoty, nie rozcinano, jak dawniej, przed kłamcą obrusu na znak pogardy; pycha, samochwalstwo, a przede wszystkim próżność stawały się coraz częściej cechami Polaka.

W tych to czasach we wsi Babinie, majątku Imci pana sędziego lubelskiego Stanisława Pszonki, powstało w r. 1568 stowarzyszenie o dziwacznej nazwie „Rzeczpospolita Babińska", coś na kształt rzymskich akademii literackich, tylko stokroć bardziej oryginalny twór i specyficznie polski.

Dowcipny sędzia ze swym przyjacielem Piotrem Kaszowskim, stworzyli nową organizację na wzór państwa. Zwoływano więc sejmy, czyli giełdy i rozdawano na nich urzędy o ówczesnych tytułach. Cel zaś był oryginalny i świadczący o niezwykłej kulturze założycieli: poprawa obyczajów przez dobry żart („ridendo castigare mores"). Rzeczpospolita Babińska istniała aż do roku 1677 i chlubiła się przywilejami królów polskich, cesarza, a nawet papieża.

Humor staropolski był niezrównany, wystrzelał niczym szampan podczas biesiad, uprzyjemniał długie postoje wojenne, urozmaicał polowania. Może bywał on nieco rubaszny, nie tak „salonowy", jak francuski, lecz niewątpliwie polski i niezwykle charakterystyczny dla ówczesnego typu ziemianina-rycerza. Takie postacie oryginałów, jak w Polsce i tak wielkie poczucie humoru mogły mieć miejsce tylko w naszym kraju, rycerskim i odznaczającym się wielką wolnością.

Członkami „Rzeczypospolitej Babińskiej" bywali tylko ludzie wykształceni i ogólnie szanowani w społeczeństwie, nic więc dziwnego, że nowoobrany, gdy otrzymał przywilej, czyli list, zawiadamiający go o wyborze, całował go, a na znak uszanowania czytał stojąc. Pszonka był pierwszym burgrabią babińskim, Kaszowski zaś kanclerzem. Urzędy były rozdawane niezwykle dowcipnie, stosownie do przywar kandydata: gaduła zostawał posłem, samochwał rotmistrzem, wyniosły marszałkiem itd. Miała też Rzeczpospolita Babińska w początkach swego istnienia króla i to prawdziwego, a był nim Zygmunt August, który — zdaje się — bywał częstym gościem w Babinie. Zachowała się notatka o rozmowie Pszonki z królem. Zygmunt August zapytał go pewnego razu: „A macie króla?" — „Boże zachowaj — odpowiedział szlachcic — abyśmy póki żyć będziemy, innego pana obierać mieli".

Dziwna „Rzeczpospolita" nie była jednak tylko miejscem zabawy. Do Babina zjeżdżała się niemal cała ówczesna elita umysłowa z Litwy, Rusi i Korony. Tam następowała wymiana myśli. Tam się radzono. Jedni znajdowali życzliwą krytykę, inni znów pomoc w realizacji swych zamiarów. Tam zjeżdżali się: *Mikołaj Rej, Jan Kochanowski, Bartosz Paprocki, Sęp Szarzyński, Andrzej Trzycieski, kanclerz i hetman W. K. Jan Zamoyski, Kmitowie* i wielu innych sławnych ludzi, zarówno świeckich, jak i duchownych.

O miłej i pogodnej atmosferze babińskiej najlepiej świadczą wyjątki ze wspomnień Achacego Kmity:

„Odezwał się ktoś przy stole, że w Wilnie jest tak głośny szklany dzwon, że gdy weń uderzą, to aż w Moskwie słychać. Drugi odrzekł: Jest dzwon dziwniejszy w Krakowie, ale nie szklany ani żelazny, ale gliniany, który zdun ulepił z „iłżyckiej gliny": gdy zadzwonią, to trochę dalej, bo w Rzymie, usłyszą w osiem niedziel po tym."

Rzeczpospolita mianowała go za to swoim historykiem.

Kto się z męstwa przechwalał, a jak jeden i z siły, że jak pięścią uderzył wołu w łeb, to mu ręka na drugą stronę przez mózg i kość wypadła, został hetmanem polnym.

„Miała i łowczego swego Rzeczpospolita, który sławnego dzika z Niepołomic przyprowadził żywcem do zamku Krakowskiego. Żył ten dzik lat czterdzieści. Żaden mu nie mógł podołać myśliwy, kule i oszczepy o szczecistego wieprza rozbijały się daremnie, ale przez ciągłe na niego łowy potrafiono mu oczy powybijać. Przecież stary dzik umiał sobie poradzić: jeden z jego potomków prowadził go, a ślepy szedł za nim, trzymając w pysku ogon.

Myśliwy, a ówczesny kandydat na urząd łowczego w Babinie, ujrzawszy dzika, z muszkietu jak zmierzył, kulą ustrzelił ogon przy samej kości. Uciekł dzik młody, a stary ślepy jak pień, stanął: myśliwy przystąpił, ujął zręcznie za odcięty ogon i przywiódł ogromnego odyńca do zamku. Kiedy go zabito, znaleziono sześć oszczepów zarosłych pod skórą, dwadzieścia kul ołowianych, a kły miał jak sierpy, którymi podcinał dęby".

Podczas biesiad babińskich Rej czytywał swe bajki i figliki, w których dowcipnie docinał współtowarzyszom np. w wierszu pt. „Co rybki o ojca pytał?"

Błaznowi małą rybkę na talerzu dali.
A sami sobie większe z misy rozebrali.
Ten położy do ucha pilnie jej słuchając,
A ci się siedząc śmieją, co czyni pytając?
Rzekł im: „Ojciec mi utonął, by mi powiedziała
Pytam się, jeśli by go gdzie w wodzie widziała?
Rzekła mi: pytaj starszych, co na misie były,
Ale widzę, żeście je szpetnie rozchwycili".

Czasem i Rej spotkał kawalarza, który mu dłużny w dowcipie nie pozostał. Razu pewnego, gdy przejeżdżał on z Łukaszem z Górki przez wieś Łęk pod Krosnem, zapytał spotkanego chłopa: — A kto tę wieś trzyma?

Kmieć: — Ziemia a płoty.
Rej: — A któż tu panem?
Kmieć: — Ten, co ma najwięcej pieniędzy.
Rej: — A któż tu starszym?
Kmieć: — Jest tu baba, co jej już przeszło sto lat.
Rej: — A któż tu najwyższym?
Kmieć: — Lipa nad kościołem, co ją oto widać.
Rej: — Dalekoż południa?
Kmieć: — Nie szło tędy miły panie, nie wiem, jak daleko być może.
Rej: — Widzi mi się, chłopie, weźmiesz w gębę.
Kmieć: — Nie wezmę, panie, bom nie pies,
Wolę w rękę, jako człowiek.

Obaczywszy Rej, iż na swego trafił, rzekł:

„Jakom żyw, tak sztuczny chłop nigdy na mnie nie przychodził" (Grabowski: — Starożytności historyczne).

W Babinie deklamował też swe śliczne fraszki Jan Kochanowski, który ten rodzaj poezji wprowadził u nas do literatury:

„Ja inaczej nie piszę, jeno jako żyję,
Pijane moje rymy, bo i sam rad piję.
Nie mierzi mnie biesiada, nie mierżą mnie i żarty
Podczas i czepiec: więc też pełne tego karty".

Nie łatwo było w Babinie nakarmić liczną rzeszę gości, którzy wprawdzie nie grzeszyli skromnością, ale zato obżarstwem. Biedny gospodarz nieraz padał ofiarą satyrycznych wierszyków, w których celowali Mikołaj Rej i Jan Kochanowski. Wiersz tego ostatniego „Na gospodarza" niewątpliwie pochodzi z babińskich czasów.

„Posadziłeś mnie wprawdzie nie najgorzej,
Ale trzeba mięsa dawać skorzej,
Przed tobą widzę półmisków niemało,
A mnie się ledwie polewki dostało.
Diabłu się godzi takowa biesiada,
Gościem, czy świadkiem ja twego obiada?"

Znane były przysłowia:

„To musiał słyszeć w Babinie" oraz

„Rycerz z babińskiej wyprawy".

Król szwedzki Karol Gustaw, ogniem i mieczem pustosząc Polskę, nie oszczędził i Rzeczpospolitej Babińskiej. Kazał wywieźć całe jej archiwum, z którego część zaledwie się uratowała. Z wieku XVII przechowały się jedynie wyjątki z „rejestru prowadzonego dla pamięci urzędników babińskich":

„Jegomość pan Krzysztof Ziemacki, cześnik babiński, powiedział, iż u jegomości pana Ożarowskiego, ojca małżonki jego, jest strzelec, co jednym strzelaniem po kopie i więcej kaczek dzikich zabija i często mu się to trafia. Co urząd babiński in acta referować kazał, jako urzędnika zacnego dictum".

„Jegomość pan Jan Wydżga, będąc na ekspedycji chocimskiej na wojnie z cesarzem tureckim Osmanem, powiedział, że gdy z obozu tureckiego strzelono z wielkiego działa, w ten czas kucharz jegomości napadł i kulę lecącą ułapił i zaraz tę kulę cisnął i trzy namioty tureckie obalił. Za co odniósł urząd starszy nad cekauzem babińskim".

„Jegomość pan Wacław Zamoyski powiedział, że taki był myśliwy jegomość pan wojewoda kijowski, książę Ostrogski, że i w nocy, zaświeciwszy lanych świec co niemiara, lasy z nimi odstępując, przy onych świecach, jako we dnie, szczwał zająca. Dało się jegomości urząd supremus senatus babiński".

„Jegomość pan Hiacynt Konstanty z Michałowa Michałowski powiedział, iż widział takiego charta u jegomości pana Stanisława Grodeckiego, który tak rączy był, iż jednego razu zdarzyło mu się poszczwać takiego zająca, który miał osiem nóg. Ten uciekał wprzód na czterech nogach, a po tym zmordowawszy się na drugich czterech i tak na przemiany czynił, a przecie ten chart go uganiał, którego zwano Sokołem. Za co szczwaczem babińskim jegomość zostaje".

Z zapanowaniem w kraju ciemnoty, gdy w literaturze naszej królowały niepodzielnie panegiryki, a jedynym źródłem wiedzy szarego szlachcica były kalendarze, upadła Rzeczpospolita Babińska po stu przeszło latach swego istnienia. W wieku XVIII Karol Radziwiłł „Panie Kochanku" starał się wznowić tradycje babińskie. Nie brakło wprawdzie Radziwiłłowi dowcipu, ani pieniędzy na ekstrawagancje (zwano go Rad-żywił), nie posiadał on jednak ani wykształcenia, ani potrzebnej kultury. Mówiono o nim:



Król Zygmunt August

Łże cały dzień bez ustanku,
Przysłowie ma: panie kochanku.

Zgraja dowcipnych i wesołych biboszów, o ostrych językach, lecz tępych głowach, towarzysząca stale Radziwiłłowi, niczym nie przypomina uczestników biesiad babińskich. Wspaniały obraz Jana Matejki „Rzeczpospolita Babińska" odtworzył genialnie nastrój uczty w Babinie. Tradycje ciekawej rzeczpospolitej odżyją dopiero w początkach XIX w. w Wilnie, w okresie rozkwitu uniwersytetu, wznowione przez „Towarzystwo Szubrawców", ze słynnym Śniadeckim na czele. Lubowali się w dowcipach babińskich Filomaci i Filareci, czego najlepszym dowodem jest wyjątek z listu Tomasza Zana do Adama Mickiewicza (z dnia 22 maja 1820 r.):

„Frejend napisał „z Rana" i zato został gramatykiem promienistym."

W odrodzonej Polsce na uniwersytecie Stefana Batorego istniał ciekawy — „Akademicki Klub Włóczęgów Wileńskich", grupujący wiele zdolnych i utalentowanych studentów. Propagował on oryginalny, a szczerze polski humor i dawnych żaków wileńskich tradycje. O czym świadczy zwrotka klubowego hymnu:

Niech żyje młodość, Muzy i Wiosna,
Niech żyje piosnka zawsze radosna,
Niech smutek nigdy czół nam nie plami,
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami.

STANISŁAW JANICKI



Mikołaj Rej



Jan Kochanowski

STANISŁAW ZADROŻNY (PARYŻ)

MONTMORENCY - POLSKA EMIGRANTÓW



MONTMORENCY
obraz olejny malowany przez gen. Kniaziewicza i znajdujący się w Bibliotece Polskiej w Paryżu — reprodukowany po raz pierwszy

Wysiąść trzeba w Enghiens les Bains. Stamtąd do Montmorency jedzie się staroświecką kolejką wąskotorową. Jeden krok dzieli wielką arterię linii kolejowej, prowadzącej z Paryża na północ, od tego staroświeckiego samowarka. Francuzi uśmiechają się jak do odległej przeszłości i mówią: „pittoresque", Polacy doznają rewanżu za kolejkę wilanowską.

Samowarek pnie się powoli w górę i wtedy dostrzega się jego użyteczność w tym krajobrazie. To powolne wspinanie się staroświeckiej kolejki jest tutaj potrzebne. Treść przeżyć staje się dzięki temu pełniejsza, bo dojrzewa powoli, w skupieniu i zamyśleniu, które obudzić może każdy kwiat rozkwitły w słońcu, każdy kształt drzew oraz barwa ziemi i nieba.

A niebo o tej porze jest wysokie i błękitne, a jedynie ku horyzontom ciemnieje. Kwiatów jest dużo, a wychylając się z kolejki można się nawet i odurzyć zapachem ziemi.

Z peronu stacji kolejowej trzeba się jeszcze powoli wspinać w górę. Miasteczko jest małe, schludne i wznosi się, to znów opada w dół ku dolinom o mocnej zieleni. Trud wspinania się ku najwyżej położonej części miasteczka opłaca się, gdyż barwa niektórych dolin przypomina morze, widziane z góry. Paryż oglądany z tej odległości jest rozlaną plamą, nad którą wznosi się wysokie rusztowanie wieży Eifla.

Niewiadomo, co sobie upodobał w tym krajobrazie Montmorency Julian Ursyn Niemcewicz, że przyszedł tutaj umierać. Być może, że o jakiejś porze dnia, gdzieś w Montmorency dostrzegł nikłe podobieństwo do ziemi rodzinnej. Wtedy, u tamtych wygnańców kult ziemi ojczystej był tak mocny, jak sama miłość. Mickiewicz modlił się nad garstką ziemi, przywiezionej z Litwy. Eustachy Januszkiewicz, choć był człowiekiem praktycznym o właściwościach finansisty, sprowadzał kwiaty i ziemię z Polski. „Pełno mam wazonów — pisze do przyjaciół — i często marzę, żem w Kraju i płaczę".

Trudno ustalić, jakie względy spowodowały, że Niemcewicz zamieszkał u schyłku swego życia w Montmorency. Być może, że zdecydowały o tym te reminiscencje krajobrazu ojczystego, a prawdopodobne jest również, że była to ucieczka od emigracyjnych „potępieńczych swarów" Paryża.

Czas już mu było odpocząć. Życie miał burzliwe i po brzegi wypełnione zawodami i goryczą. Przypadło mu bowiem żyć w okresie nad wyraz bolesnym, gdzie każdy etap życia wpleciony był w okresy narodowego kataklizmu. Był uczniem Korpusu Kadetów, był adiutantem księcia Adama Czartoryskiego, był adiutantem Kościuszki. Odbył z nim więzienie moskiewskie a potem podróżował razem do Stanów Zjednoczonych. Wrócił stamtąd do Europy i w roku 1831 brał udział w powstaniu listopadowym, jako 73-letni starzec.

W życiu emigracyjnym był bardzo ruchliwy i czynny. Działał w Anglii i we Francji. Był działaczem, żołnierzem, poetą, publicystą. Gdyby zebrać wszystko, co był napisał, byłoby tego ze 30 tomów w wydaniu zbiorowym. Ale ilość nie ma tu większego znaczenia. Nieśmiertelność zapewniły mu „Śpiewy historyczne" i kilka innych utworów. Reszta to twórczość publicystyczna, której wartość przemija zawsze szybko.

Jedyny znak, który pobudzić może wyobraźnię ku rozmyślaniom o Niemcewiczu i o ludziach, którzy z nim żyli i działali — to grób na cmentarzu w Montmorency. Biała, marmurowa płyta na grobie Niemcewicza jest starta, jak posadzka starej katedry. Napisy i znak krzyża są jak stary, spłowiały druk. Grób generała Kniaziewicza jest obok. Dotrzymują sobie wieczystej przyjaźni, która ich łączyła w ostatnich chwilach życia. Na grobie Kniaziewicza nie ma żadnych napisów. Słowo — „Kniaziewicz" wyryte w poprzek płyty grobowej ma wystarczyć za wszystkie daty i sentencje. Grób rodziny Mickiewiczów jest obok, w sąsiedztwie. Na pomniku grobowym napisy, daty, a w dole rdzewiejące, opuszczone wazy żelazne, w których krzewią się bujnie chwasty.

Od tego miejsca trzeba iść poszczególnymi alejami wolno, bo co krok jakiś napis polski głosi, że pochowani tu zostali ludzie z dala od ojczyzny, że umierali w tęsknocie i ostatecznym opuszczeniu.

Cmentarz jest nagi, odsłonięty spiekotom słońca i wichrom. Nie ma tu polskich drzew, które jak płaczki wieczyste zawodzą nad mogiłami zmarłych. Jedynie w jednym miejscu, skąd ogarnąć można całą okolicę, stoi samotna grupa tuj. Drzewa te

ZDJĘCIA:
W. ŚLEDZIEWSKI

mają w sobie coś ze sztywności cyprysów, ale są szczegółem ważnym na tym polskim cmentarzu w Montmorency, gdyż wskazują drogę do grobu Cypriana Norwida. Leży we wspólnym grobie bezdomnych polskich wygnańców.

Umierał w przytułku, założonym przez księcia Adama Czartoryskiego w Paryżu. Przeżył wszystkich poetów romantycznych z wyjątkiem Bohdana Zaleskiego. Dogorywał ten zgorzkniały samotnik wśród polskiej emigracji — niedostrzeżony. Był duchem przekory, przeciwstawiał się niemal nałogowo sądom, które wszyscy uznali za słuszne. Milczał, gdy była mowa o sprawach, na które się godził. Od życia emigracyjnego trzymał się zdala. Był tego życia surowym krytykiem i obserwatorem. Toteż nic dziwnego, że ta wspólna mogiła jest jakby epilogiem jego życiowych niepowodzeń i buntu przeciwko grzecznym manierom emigracyjnych konwenansów.

Co roku w rocznicę pogrzebu Juliana Ursyna Niemcewicza, jakby w wykonaniu wieczystego legatu, na cmentarzu w Montmorency delegacje Polaków z Francji oddają hołd zmarłym na emigracji. Być może, że kiedyś te uroczystości miały w sobie wyraz mocnego symbolu, który łączył żywych ze zmarłymi w miłości tej samej ziemi i tej samej sprawy..

Ale od dawna już porwane zostały wszystkie węzły, które łączyły tamtych ludzi z życiem. Teraz ludzie przychodzą tutaj dla uszanowania zwyczaju, dla dokonania aktu, który wynika więcej z pobudek społecznych, niż z potrzeby serca.

W tym roku po raz 109 przybyły delegacje na cmentarz w Montmorency. Były wieńce i były sztandary. Delegacje zatrzymały się nad grobem Niemcewicza, Kniaziewicza i Mickiewicza. Uroczystość mogła być patetyczna, a była tylko szablonowa i poprawna. Wspólna mogiła, gdzie jest pochowany Cyprian Norwid została pominięta. Ten prosty gest pamięci dla wielkiego poety nie mieścił się w ramach konwenansów, jakby jeszcze działała siła tamtego zapomnienia i pamięć tamtego przytułku, gdzie dogorywał Norwid.

Podobno każda organizacja, która przychodzi w dniu rocznicy śmierci Juliana Ursyna Niemcewicza na cmentarz w Montmorency, ma z góry określone intencje, gdzie na jakim grobie ma składać wieńce. O Norwidzie nikt nie pomyślał. A warto byłoby, warto tych prostych ludzi, którzy w tym dniu przychodzą na cmentarz, poprowadzić na grób Norwida, by im pokazać i powiedzieć, że w tym wspólnym grobie spoczywa jeden z wielkich poetów Polski, ten, który wyrazu piękna narodowego szukał w prostocie sztuki ludowej, a źródeł siły narodu w ludzie.

Stanisław Zadrożny



GROBOWIEC RODZINY MICKIEWICZÓW

ANTONI BOGUSŁAWSKI

ALMA MATER VILNENSIS

Niedawno pisma doniosły o zjeździe intelektualistów europejskich, którzy powzięli na tym zjeździe słuszną uchwałę o konieczności zwrócenia uwagi na potrzeby naukowe uchodźców zza żelaznej kurtyny, a więc o stworzeniu dla nich uniwersytetu. Polacy, którzy procentowo są najliczniejszą grupą uchodźców, byli na zjeździe reprezentowani przez Józefa Czapskiego, autora dwóch niepospolitych książek o Rosji współczesnej, współpracownika paryskiej „Kultury" — i dobrze, że nie zabrakło polskiego głosu w tym zachodnio -europejskim chórze.

Zanim jednak powzięta inicjatywa obróci się w czyn, przezwyciężając trudności organizacyjne, pośród których sprawa siedziby uniwersytetu oraz języka wykładowego będą szkopułami pierwszymi i zasadniczymi, trzeba sobie radzić i bez tego. Nam, zwłaszcza Polakom, nie brak młodzieży i nie brak profesorów. Część naszych naukowców zdobyła sobie możność pracy na katedrach amerykańskich, znaczna jednak liczba pozostaje i pozostanie w Europie. Ci, o ile zamieszkują większe skupiska emigracyjne, jak np. Londyn, nie zrezygnowali właściwie ani na chwilę z pracy nauczycielskiej. Świadczy o tym pokaźna ilość odczytów naukowych, świadczą przedsięwzięcia zespołowe, jak Instytut Kultury Polskiej i cykle wykładów historycznych oraz literackich w Polish Research Centre, jak systematyczne odczyty Pol. Tow. Historycznego i jego sekcji literackiej w Instytucie im. Sikorskiego, jak wreszcie imponująca wysiłkiem i dwuletnim dorobkiem Szkoła Nauk Politycznych i Społecznych w Londynie, nie dawno przez Rząd R.P. podniesiona do godności wyższego zakładu naukowego. To wszystko budzi zainteresowanie i cieszy się należytą frekwencją. Oczywiście, podkreślamy tu osiągnięcia prawno - społeczne i huma-

(Dokończenie na str. 6-ej)



Zbiorowa mogiła polskich nędzarzy (środkowa płyta). Spoczywa w niej Cyprian Kamil Norwid.

TERESA SKÓRZEWSKA

WĘDRÓWKA W PRZESZŁOŚĆ

Transport nasz z Włoch do Anglii szedł drogą lądową. Ładowaliśmy się późnym wieczorem. Ludność obchodząca jakąś uroczystość oświetlała fajerwerkami morze wzdłuż toru.

Po raz ostatni zaciąga się nad nami gorąca, nabrzmiała muzyką i śpiewem noc śródziemnomorska. Po raz ostatni, nim nadejdzie sygnał odjazdu, koczujemy na szkarpach, rozgrzanych jak zapiecek wielomiesięcznym upałem, wsłuchane w jakże polski gwar stacji, w cowieczorne gawędy o dziwnych drogach, jakimi każdy tu dobrnął. Wreszcie gwizd, bieg do wagonów, dobrą chwilę wyścig ciężarówek, które nas odstawiły na dworzec z pociągiem, okrzyki, strzały na wiwat i już w przeszłość zapada najjaśniejszy okres od opuszczenia Polski: społeczność Drugiego Korpusu. Zdala rysująca się na tle nocy sylwetka Loreto śle pożegnanie tych, dla których Italia pozostanie etapem ostatnim.

Transport szedł przez Tyrol drogą, jaką wielokrotnie wracał do Kraju. Dziś ta niedługa droga jest już zamknięta setkom tysięcy żołnierzy, co od lat w jej torowanie kładli swą ofiarność, wolę i krew. Pociąg skręcił na zachód. Szedł bardzo wolno, lecz bez przystanków. Znużeni zapadliśmy w senność. Czasem oczy otwierały się na olbrzymie pola zgliszczy niedawnych fabryk i osad, czasem budził monotonny jęk. To w rejonach ongiś przemysłowych dziesiątkami mil stały dzieci wzdłuż toru powtarzając jedno słowo: „Brot". Głos głodu milionów, jednostajny jak beczenie owiec.

Życie nasze kierowało się w nieznane, poprzez ruiny wczorajszej Europy, kurczyło się do rozmiarów pyłku wobec ogromu destrukcji kontynentu. Senna, zmaltretowana pamięć wracała uporczywie już nie do własnej przeszłości, a zarania ludów, które dziś w gruzach pogrzebały wieki dokonań.

Osiedlanie jest początkiem kultur, wysiedlanie ich końcem. Wędrują poprzez Europę na Zachód miliony ludzi bezdomnych, pchanych wspólnym instynktem ucieczki przed losem innych milionów, pędzonych w bezmiar Rosji i Sybiru.

Kiedyż niepokój tej miary wypłaszał mieszkańców ziemi z ich siedzib? Cofam się w przeszłość aż do epoki wielkich kataklizmów, co przekształcały oblicze świata. I Biblia mówi o potopie i geologia o kontynentach w głąb oceanów zapadłych...

Nie sięgając w głębokie mroki przedlodowcowej przeszłości, dowiedzieć się możemy od geologów wiele o wędrówkach ludów, które od czternastu tysięcy lat tymi samymi, co Drugi Korpus, szlakami szły przed siebie na Zachód.

Dwanaście tysięcy lat przed Chrystusem zelżały okowy lodowe, które przez okres sześćdziesięciu tysięcy lat po raz ostatni skuwały Europę. Niewielkie gromady ludzkie wyszły z tego tragicznego okresu z życiem, wyzutym z wszelkiego dorobku. Siły podtrzymywali głównie mięsem renów. Dlatego Europejczycy polodowcowi trzymali się zrazu tundry, na której te zwierzęta żyły. Granice tundry były ruchome: w miarę ocieplania się wciąż wilgotnego klimatu porastały w południowych swych częściach bujnym lasem dębowym, z którego gąszczem prymitywny myśliwy nie umiał sobie radzić. Gromady ludzkie były więc w ciągłym ruchu, uzależnione od przeobrażeń życia roślinnego, decydujących o wędrówkach renów. Jedynym ludzkim schronieniem przed zimnem i deszczem były jaskinie.

A jednak z tego okresu datują się pierwsze ślady sztuki: zdumiewająco piękne malowidła zwierząt na ścianach jaskiń, wyraz pragnień wygłodniałego człowieka. Zrozumieją je ludzie dzisiejszej wojny w warunkach podobnego głodu przypominający sobie nawzajem wyszukane potrawy. Znaleziono te dziwne przedhistoryczne polichromie zwierząt w głębokich pieczarach Pirenejów i hiszpańskich pasm górskich. W Anglii w braku naturalnych pieczar człowiek ówczesny zwykle zadawalniał się jamami drążonymi w ziemi, podobnymi do zwierzęcych.

Jeszcze w roku 6000 przed Chrystusem wyspa, mająca nas gościć, była częścią stałego lądu Europy. Ramię morskie, które ją wówczas odcięło, było zrazu płytkie i wąskie, miejscami zarosłe wodorostami, niezdatne do żeglugi. Dopiero około roku 2500 przybrało obecne rozmiary i kształty.

Podczas gdy rodowici Europejczycy wiedli tę nędzną i prymitywną egzystencję, szybciej znacznie rozwijała się cywilizacja na południowych i wschodnich wybrzeżach Morza Śródziemnego. I tu odgrywały rolę warunki klimatyczne. Olbrzymie równiny Sahary w ciągu europejskiej epoki lodowcowej miały klimat dżdżysty. Pokrywały je bujne stepy, mnożyła się zwierzyna i żyli ludzie. Cofanie się lodowców ku północy, zamieniając powoli Saharę w pustynię, zmuszało jej ludność do cofania się ku łożyskom rzek: Nilu, Eufratu, Tygrysu. Zwężająca się przestrzeń życiowa wiodła gromady ludzkie ku przeobrażeniom, prowadzącym na coraz wyższe szczeble cywilizacji.

Podwaliną stało się rolnictwo. Kiedy jeszcze jedynym zawodem mężczyzn były łowy, kobiety zajmujące się zbieraniem ziarn i jagód zaczęły rozumieć, że rzucając nasiona w ziemię zbiorą plon obfitszy. Maleńkie półka spulchnionej przez nie prymitywną motyką ziemi, przywiązały po raz pierwszy człowieka do miejsca. Powstała zasadnicza komórka cywilizacyjna: dom.

Z czasem mężczyzna przejął pracę na zwiększającym się polu i nadzór nad zwierzętami, które oswajał i przekształcał w bydło domowe. Kobieta rozwijała dom, jako komórkę samowystarczalną: przędła, tkała, gromadziła zapasy. W dwa tysiące lat później wkoło świątyń zaczęły wyrastać pierwsze miasta. Kapłani sprawowali w nich rządy duchowe i doczesne zarazem. Podobna forma rządów zachowała się w Tybecie. Pod egidą kapłanów organizowało się pierwsze państwo — Egipt. Potrzeby rolnicze regulacji Nilu dawały podstawę do centralizacji; z niej rodziła się potęga absolutna faraonów.

Tak w krajach dobrze 2 Korpusowi znanych: Iraku, Persji, Syrii, Egipcie rozwijała się cywilizacja, która miała zapłodnić kulturę Europy. Infiltracja była zrazu pokojowa. Gdy około roku 2500 spragnieni dobrej gleby rolnicy zaczęli się zapuszczać w urodzajny ląd Europy, mieszkańcy jej nieliczni i prymitywni z łatwością dawali się wchłaniać i asymilować. W ślad za tymi pierwszymi wędrówkami na zachód w różnych okresach i celach szły dalsze. Płynęły do Europy zawsze dwoma szlakami. Północny prowadził doliną Dunaju, stąd w górę wzdłuż Wisły do Bałtyku i jego wybrzeżem na zachód; południowy wiódł wzdłuż Morza Śródziemnego, dalej przez Gibraltar, Hiszpanię i Francję. Oba szlaki zbiegały się na dzisiejszych wyspach brytyjskich, ówczesnym końcu świata, za którym była już tylko groźna i nieskończona pustynia Atlantyku. Osiadały więc tu na samych kresach ziemi złoża różnoplemiennych wędrowców. Ścierały się i mieszkały, wnosząc pierwsze odkrycia: narzędzia z kamienia już szlifowanego (olbrzymi postęp w stosunku do łupanego kamienia tubylców), naczynia gliniane, motyki, wreszcie, dopiero w I wieku przed Chrystusem: pług. Tak docierały mozolnie na wyspę ostatnie echa, jakże odległej dla pieszych wędrowców, kultury śródziemnomorskiej.

Cywilizacje najpierwsze ginęły tymczasem pod naporem plemion nomadów pasterskich i wojowniczych, które chętnie krążyły wokoło krajów o wyższej kulturze, by drogą rabunku zaopatrywać się w dobra, których sami wytwarzać nie umieli. Takimi ludami byli Hetyci, zdobywcy i niszczyciele starego Egiptu, takimi — Ariowie, przeciskający się z Indii przez zbocza Kaukazu ku Europie. Od nich większość narodów europejskich pochodzi. Mowa krajów europejskich rozwinęła się z wspólnego korzenia ich języka.

Ostatnimi przedhistorycznymi najeźdźcami Europy byli Celtowie; szczep powstały prawdopodobnie w Turyngii ze zmieszania osiadłych tam ludów rolniczych z napływającymi plemionami wojowniczych pasterzy.

Pod naporem Germanów Celtowie przesuwają się coraz bardziej na zachód, osiedlają się nad Renem, Atlantykiem, Rodanem. Tu kolonia grecka Marsylia wciąga ich w zasięg wysokiej kultury. Celtowie zaczynają pierwsi racjonalną eksploatację kopalń. Przodują w umiejętności przeróbki metali. Są pierwszymi żeglarzami zapuszczającymi się na Atlantyk. Braknie im jednak zwartości. Rozbici na wielką ilość drobnych królestw ustępują wszędzie zwartym falangom późniejczych przybyszów — Germanom. Kolonizują natomiast tereny słabiej zaludnione. Po najazdach rozpoczynających się około 750 r. przed Chr. i powtarzających się przez lat 600 osiadają na wyspach brytyjskich.

Przedhistoryczne wędrówki ludów zaludniają przede wszystkim południowe części wyspy, głównie równinę wkoło Salisbury, pełną śladów dawnej przeszłości. Przepuszczalny grunt kredowy okolic North i South Downs nie był pokryty bagnami, jak reszta kraju i stanowił korzystne podłoże dla życia ludzkiego. Pustkowia północy zagospodarują dopiero Rzymianie.

Jako prowincja rzymska wejdą wyspy brytyjskie na arenę historii tj. dziejów spisywanych już przez współczesnych świadków.

Teresa Skórzewska

ALMA MATER VILNENSIS

(Dokończenie ze str. 5-ej)

nistyczne, bo w tym zakresie skazani jesteśmy całkowicie na własne siły. Trzeba młodzieży polskiej wykształceniem narodowym uzupełniać zarobkowo zorientowane wykształcenie techniczne i zawodowe, uzyskiwane w uczelniach, jak Polish University College. Konieczność czysto polskiej podbudowy w zakresie humanistycznym i politycznym jest bezsporna; podbudowa ta musi być dawana, jeżeli nie chcemy dać się wynarodowić i emigracje polityczną zostawić bez naturalnego dopływu sił nowych, a tak potrzebnych.

Na tym tle bardzo celowa, konsekwentnie prowadzona i aż wzruszająca w swym ideowym wydźwięku jest działalność Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego na obczyźnie. Co to za Społeczność i jakie są jej zadania? Społeczność — to zespół profesorów, docentów, lektorów, doktorów, pracowników naukowych i społecznych Uniwersytetu Wileńskiego, którzy na obczyźnie postanowili reprezentować swoją wszechnicę, kontynuować w miarę możności jej prace, nie dać o niej zapominać i nie dać zapominać o Wilnie. Co roku od czterech lat odbywa się w październiku „uroczystość inauguracyjna", odpowiadająca otwarciu roku szkolnego, a następnie co roku Społeczność daje cykl wykładów publicznych na tematy naukowe, nie koniecznie nawet z Wilnem i jego geograficznym terenem związane, choć ta tematyka jest z natury rzeczy szeroko uwzględniana. Profesorowie i docenci, jak Wacław Komarnicki, Wiktor Sukiennicki, Marian Bohusz - Szyszko, Zygmunt Jundziłł, Stanisław Swianiewicz, Władysław Wielhorski, Kazimierz Grzybowski, Roman Kuratowski i inni, między nimi — niezapomniany śp. dr Walerian Charkiewicz, figurują na liście wykładowców tegorocznych. Wykłady odbywają się w Ognisku Polskim.

W tym roku również, w 10 rocznicę przerwania normalnej pracy w Wilnie, Społeczność wystąpiła z piękną książką zbiorową, zawierającą sprawozdania i dokumenty, dotyczące Wszechnicy Wileńskiej w różnych chwilach jej istnienia *). Książka obejmuje również wiadomości o samej Społeczności, jej organizacji i pracach. Zapowiedziana jest, jako tom następny, praca dra Wł. Wielhorskiego.

Osobliwa to książka! Powinnaby niecić smutek w sercu, gdy się czyta memoriały rektora Stefana Ehrenkreutza, profesorów, docentów i pracowników naukowych przeciw złośliwemu niszczeniu dorobku Wszechnicy przez celowo to czyniących kolejnych okupantów. Godnością, ale i beznadziejnością tchną również pisma do przebywających za granicą władz R. P. do politycznych potentatów walczącego świata. Tymczasem wrażenie jest odmienne. Nie jedno ucierpiał Uniwersytet Wileński wraz ze swym starym grodem, a przecież, jak feniks z popiołów, odradzał się przy każdej możliwości, rósł w moc i promieniował na litewsko - ruskie ziemie Rzeczypospolitej. Rok 1579 — data utworzenia, rok 1803 — data pierwszego, rok 1919 —data drugiego wskrzeszenia, te trzy daty mają własną wymowę. Niezmiernie ciekawe miscellanea, z dziela „W promieniach Wilna i Krzemieńca" wybrane, pozwalają porównywać i kazą wierzyć na nowo. W roku 1823 rektor Twardowski był więziony, więzieni byli i zsyłani Filareci; w 1655 r. Wilno, spalone i splądrowane, przez całe sześć lat znosiło tę samą, co dziś niewolę. A przecież każdy błysk pomyślności polskiej natychmiast ożywia myśl i czyn na Uniwersytecie.Dwa razy wskrzeszona Wszechnica Wileńska i trzeciego wskrzeszenia doczeka.

Myślę, że Społeczność Akademicka Uniwersytetu Stefana Batorego na obczyźnie dziełu przetrwania i następnego wskrzeszenia swej Wszechnicy, a jednocześnie dziełu reprezentowania jej w pracy naukowej polskiej, dobrze się zasługuje, a zasługa to rozciąga się i na całokształt polskiej sprawy.

Antoni Bogusławski

*) **Alma Mater Vilnensis. Prace Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego na obczyźnie. W dziesiątą rocznicę przerwania normalnej pracy USB. Sprawozdania i dokumenty. Nakład Społeczności Akademickiej USB. Londyn. Redakcja: Wiktor Sukiennicki. Rysunki: Marian Bohusz - Szyszko. Rok 1950. Stron 127 z 6 rysunkami i winietami. Ze streszczeniem po angielsku.**

Z. K.

PARADOKSY ŻYCIA

Był koniec września 1939 roku. Słoneczna pogoda towarzysząca z reguły bombardowaniu otwartych miast trwała. Ulice Warszawy płonęły ognistymi szpalerami, dym nakrywał miasto ciemnym dachem, domy waliły się z hukiem i ludzie odchodzili od zmysłów ze zgrozy. Wielu powróciło bezpośrednio znad morza lub z gór, z beztroskich wywczasów, wpadając bez przygotowania w potworność wojny i klęski. W mieście panował głód, walczono nożami o dostęp do padłego konia. Wody brakło, nie było czym gasić ognia, niemniej wiara w rychłe nadejście odsieczy z Zachodu i wola oporu nie słabły.

W kamienicę na Puławskiej pod piątym trafiły dwie bomby. Mieszkające w oficynie Maria i służąca jej Filomena zniosły dogorywającego ojca Marii do piwnicy służącej za schron. Schody były wąskie i Filomena, krzepka pomorzanka, ujęła sama wyschłe ciało staruszka w ramiona, znosząc go w dół jak troskliwa niańka. Jej pracodawczyni nadążyła z tyłu niosąc kołdry, materac i cenny skarb: butelkę z wodą do picia. Gdy ułożyły chorego, Filomena wymknęła się na górę zobaczyć co słychać. Front kamienicy runął, lecz sklepienie bramy ocalało i w opadających chmurach pyłu przyjaciółki Filomeny, kuchty ze wszystkich pięter wymyślały na Hitlera. Nagłe ucichnięcie strzałów przejęło je zdumieniem. Zaroiło się zewsząd. Jedni wołali, że Anglicy już nadeszli i Niemcy odstąpili. Ktoś rzucił ponure słowo: kapitulacja. Nie wierzono mu. Gdy ta sama wieść jęła napływać ze wszystkich stron, tłum, w którym przeważały kobiety, ruszył z Mokotowa ku Śródmieściu. Filomena rzuciła w piwnicę uspakajające: Paniuńciu, ja duchem wrócę! i pobiegła również. Po drodze napotykali inne gromady, ciągnące ze wszystkich stron miasta, by protestować przed ratuszem przeciw kapitulacji. Ich wspaniałe szaleństwo nie mogło już wywrzeć wpływu na wypadki. Kapitulacja była faktem dokonanym.

Powieść, nowela, dramat przedstawiają życie znacznie uproszczone. Grom pada, autor stawia kropkę, wywołując u czytelnika wrażenie, że nastąpił koniec. Wszystko się urwało, zapadło, pękła nić wątku. W życiu jest inaczej. Nic się nigdy nie kończy. Po jednym rozdziale następuje drugi rozdział. Tylko nieliczne jednostki, pochodzące z kół intelektualnych lub wojskowych, odebrały sobie życie w łazienkowskim parku na wiadomość o kapitulacji. Przemożny instynkt bytu kazał pozostałym rzeszom powiedzieć sobie: trudno — i żyć dalej. Gdy świt zasnuty dymami obwieścił pierwszy dzień okupacji hitlerowskiej, Maria z Filomeną przeniosły chorego starca z powrotem do mieszkania. Oficyna domu pod nr. 5. na Puławskiej ocalała. Wprawdzie okna i drzwi były wydarte podmuchem, lecz dach pozostawał cały nad głową. Okna należało zabić dyktą, wprawiając w środku szkło z obrazów ocalałych, gdyż wyniesiono je do piwnicy przed bombardowaniem. Brakło, rzecz prosta, wody, prądu i elektryczności. W nowoczesnym mieszkanku budowniczy nie przewidział paleniska. Kiedy więc Maria stała z wiadrami w długim ogonku na Rakowieckiej, Filcia rozpalała na pogiętym balkonie ogieniek z ram okiennych i gotowała na nim dla chorego kaszkę (zmiecioną z podłogi w śpiżarni). Naprzeciw frontowy dom rozcięty na dwoje ukazywał przepołowione mieszkania. Różowa firanka powiewała nad ruiną. Biały kaflowy piec przylepiony do ściany patrzył w próżnię. Na dole z szyldu fryzjera pozostały tylko słowa: *damski i męski*, a pod nimi jakiś dowcipniś dopisał wielkimi literami: *grób*. Ale stary pan był już coraz słabszy i nic z tego nie spostrzegał.

Drzemał podziękując przez sen i wówczas, gdy Niemcy przyszli zarekwirować mieszkanie. Wynosić się! Schnell! Schnell! Maria skamieniała z rozpaczy, lecz sytuację ocaliła Filcia wymyślając po niemiecku z zawrotną szybkością.

— Volksdeutsch? — zapytał podoficer wzgardliwie.

— Jaki tam volksdeutsch! Reichsdeutsch jestem! Przecie mówię, że z Pomorza, Filomena Butek.

Wachmistrz zasalutował i przeprosił. Mieszkania naszych są wolne od rekwizycji. Wyrwał z notatnika kartkę, nagryzmolił parę słów i przylepił do drzwi. Należą się wam racje żywnościowe — dodał.

— Jeszcze nie odebrałam, bo od chorego trudno odejść...

— Filciu — szepnęła Maria, kiedy odeszli, Filciu...

— No co? Może pani nie kontenta? Już nam starszego pana nie ruszą. A ja zaraz się popytam, gdzie te kartki dają...

— Nie, nie! Nie chcę!

— A już ci. Co starszemu panu damy? Kaszki jeszcze tylko na dwa razy starczy...

* * *

Przyjaciele zbili trumnę z desk od jadalnego stołu. Ksiądz pomodlił się nad zwłokami. Maria po pogrzebie odetchnęła spokojnie. Kochała swojego starego ojca i czuła ulgę na myśl, że już mu nic nie grozi. Już go nie obchodzą Niemcy, nie dotknie go poniewierka, ani zimno, ani głód. Sama utonęła w pracy konspiracyjnej, ogarniającej jak epidemia całe społeczeństwo. Rozpoczęła nowe, dziwne, nieprawdopodobne życie. Bez domu, rodziny, bez stałego miejsca zamieszkania, z coraz to innymi dokumentami, inną osobowością. Nieustanne niebezpieczeństwo syciło jej dumę. Nie czuła się niewolnikiem, lecz żołnierzem. Nie znała odpoczynku, przerzucana z rozkazami z kąta w kąt Generalnej Gubernii. Mniej więcej co dwa tygodnie otrzymywała urlop na dobę i zmieniwszy starannie wygląd, wracała do swego dawnego mieszkania na Puławskiej, by się należycie wyspać. Mieszkanie, chronione przez nagryzmoloną niegdyś kartkę, jeszcze istniało i mieściła się w nim tajna skrzynka pocztowa okręgu. W czasie tych krótkich, a jakże zbawiennych odpoczynków Maria widywała Filcię. Drogi pani i jej dawnej pomocnicy domowej rozeszły się już dawno. Filomena pozostała Reichsdeutschką i służyła u kierownika Arbeitsamtu, mieszkającego z rodziną w sąsiedniej kamienicy. Maria bolała nad tym i przekonywała samą siebie, że należy okazywać odstępczyni wzgardę. Ilekroć jednak chciała to uczynić, stawał jej w oczach obraz Filci, znoszącej starego ojca po schodach troskliwie jak niańka i słowa milkły niewypowiedziane. Sama zdrajczyni nie czuła żadnych wyrzutów. Ilekroć dowiedziała się od dozorcy, że Maria nocuje na Puławskiej, przybiegała z pełnymi menażkami. Świeże ciasto, potrawka z mięsa... paszteciki... Chronicznie zagłodzona Maria z trudem powściągała ślinę napływającą do ust.

— Skąd to masz? — zapytała surowo.

— A od moich Szkopów — odpowiadała beztrosko dziewczyna. Tak ich dzisiaj nastraszyłam, że ani kolacji nie tknęły... Zebrałam wszystko ze stołu i przyniosłam... Opowiadałam im, jak ich będą wieszać, kiedy się Hitler wywali... Niby się litowałam nad nimi i nad sobą a taki mnie śmiech brał... Siedziały jak słupy. Szkopka dzieci tuliła i płakała. Dzieci owszem, niczego, grzeczne, obyczajne, aż szkoda, że to wszystko trzeba będzie rżnąć... No, niech panie jedzą, póki gorące... Nakryłam garnki i duchem leciałam, żeby nie wystygło...

Jakże było odmówić, stroić miny? Jak się oprzeć smakowitej woni? Konspiratorka Maria, jej przyjaciółka Weronika, zawzięte, twarde bojowniczki zjadały kolację, pozostawioną przez Szkopów i czuły się po niej jak odrodzone. Nikt, kto nie głodował prawdziwym głodem, nie pojmie rozkoszy napełnienia żołądka pełnowartościową strawą. Filcia patrzyła na jedzące z rozczuleniem.

Nieraz oprócz menażek pojawiała się obszerna torba, wypełniona produktami przysługującymi tylko Niemcom: pomarańcze, ryż, kakao, kawa... Maria próbowała gestów oburzenia.

— Filciu! Ty kradniesz!

— O wa, kradnę Szkopom, nie swoim...

— Kradzież jest zawsze kradzieżą...

— Co mi pani głowę kręci? To panine przyjaciele, co zabrały Szkopom pieniądze na Miodowej, są złodzieje? A te co rozbiły skład z bronią na Pradze, także złodzieje?...

— Jest różnica... — zaczynała Maria i milkła, sama nie wiedząc na czym ta różnica polega.

Tuż przed świętami Filcia przyniosła swej pani wielką utuczoną gęś, obiecując, że przyjdzie po policyjnej godzinie i upiecze ją sama, nadziawszy jabłkami. Przy tej okazji dowiedziano się, że Filomena nawiązała romans ze Szkopem. Kierowana niezawodnym zmysłem praktycznym wybrała spośród licznych zalotników sentymentalnego cherlaka, obrządzającego gęsi, chowane przez komendanta niemieckich koszar na Rakowieckiej. Niniejszy ptak był owocem grzechu.

— Filciu! Filciu!... — jęczała Maria zgnębiona, niemniej zaprosiła na ucztę nie tylko Weronikę i Sabinę, ale samego dowódcę Dzięcioła. Goście zajadali, nie dochodząc mętnego pochodzenia specjału, jak nie troszczy się nikt o bagno, z którego wyrasta lilia. Niestety Filcia sama podniosła tę sprawę.

— Już więcej nie przyniosę gęsi — westchnęła, chyba że zacznę chodzić z Francem, bo tamtego Karla posłali na front... Płakał aż wstyd. Pisał do mnie list z drogi, ale nie mogłam przeczytać, bo szwabachą pisane... Może moja pani przeczyta?...

„Meine liebe Philomene, — pisał Karl, niesumienny stróż gęsi — jestem bardzo nieszczęśliwy, że musiałem wyjechać z Warschau. Pozostań mi wierną, moja Philomene, bo ja ciebie pamiętam ciągle i wrócę..."

— Bodaj mu kacapy bebechy wypruły — mruknęła kochanka.

„...Wrócę i ożenię się z tobą, kiedy tylko wojna się skończy. Zamieszkamy albo w Warschau albo w mieście Petrikau, które jest też ładne. Mnie się w Generalnej Gubernii bardzo podoba..."

— Podoba się pludrakowi — syczała adresatka. — W ziemi zgnijesz, ciemna maso... Durne te Szkopiska, że strach...

Franc okazał się równie powolny życzeniom Filci, jak Karl i gęsi pojawiały się co pewien czas na konspiracyjnym stole. Aż przyszła Burza. Maria i Filcia straciły się z oczu. Filcia wyjechała w porę na wieś. Maria walczyła w powstaniu. Wyszła z potrzaskaną nogą, zniekształconą poparzeniami twarzą i nieuleczalnym wstrząsem w duszy. Uraz dzielony z innymi uczestnikami tych walk sprawiał, że nigdy już nie miała być podobną do zwykłych, normalnych ludzi. Inne reakcje, inne uczucia, inna hierarchia ważności zjawisk. Ale żyła, musiała jeść, musiała się ubrać. Podobnie jak we wrześniu 39-go roku, jutro klęski zmuszało do codziennych zajęć i Maria postanowiła wrócić do swego właściwego nazwiska, ulegalizować się (wciąż jeszcze nosiła w torebce fałszywą kennkartę) i szukać posady.

Posad nie brakło. Przeciwnie. Ludzie obznajmieni z techniką pracy biurowej byli cenni i poszukiwani. Maria przypuszczała, że tylko jej wewnętrzne opory mogą stanowić przeszkodę, aliści napotkała również trudności zewnętrzne.

Przed zgłoszeniem się do pracy należało przedstawić świadectwo nienagannego patriotycznie prowania się w czasie okupacji. Świadectwa wydawał młody gorliwy urzędnik, wynagradzający podejrzliwością braki doświadczenia. W okupacyjnym curriculum vitae Marii dostrzegł pewne luki, jął wtedy pytać i badać głębiej, miesiąc za miesiącem, tydzień za tygodniem. Petentka poczęła się mieszać. Nic dziwnego. Nie wszystko co wówczas czyniła mogło się podobać potentatom obecnej doby. Przedstawiciel władzy uznał ją za podejrzaną.

— Obywatelka nie dostanie zaświadczenia patriotyzmu, a tym samym prawa do posady i mieszkania — zawyrokował. Chyba żeby ktoś posiadający nasze pełne zaufanie poręczył za obywatelkę...

Maria wyszła przygnębiona, uświadamiając sobie trudność położenia. Wszyscy jej przyjaciele, towarzysze broni, bądź spali pod rumowiskami Warszawy, bądź pragnęli, by o nich zapomniano. Darmo przebiegała myślą znajome twarze. Nie widziała nikogo, kto by mógł poświadczyć, że nie uczyniła nigdy nic sprzecznego z sumieniem Polki.

Z przykrej zadumy obudził ją okrzyk radosny.

— Paniuńciu moja! — wołała niewidziana od roku Filcia. O ile pani była zmarniała i szara, o tyle jej dawna pomocnica domowa kwitła. Obfita pierś rozpierała jaskrawą bluzkę. Czerwony gwoździk zdobił zalotnie włosy.

— Ja tu gotuję w stołówce dla milicjantów — objaśniała Filomena. — Fajne chłopaki. A co z moją panią?

W krótkich słowach Maria opowiedziała o swoim najświeższym kłopocie.

— O to paniuńcia się martwi? Zaraz pójdę i za panią zaświadczę.

Choć życie przyzwyczaiło Marię do niespodzianek, wrażenie odniosła silne.

—Ty, Filciu?...

— Pewnie, że ja. Całą milicję znam. Zaraz pójdę do starszego, żeby mi dał papier. Niech się pani o nic nie boi.

Nazajutrz zjawiły się w biurze. Filomena nie bez dumy przedstawiła podejrzliwemu młokosowi dokument, wystawiony przez komendanta rejonu, po przeczytaniu którego podniósł się z uszanowaniem.

— Skoro osoba takich zasług, jak obywatelka Filomena Butek ręczy za zachowanie obywatelki w czasie okupacji, obywatelka dostanie poświadczenie. Proszę wypełnić formularz.

Po kwadransie wszystko było załatwione. Maria nie wierzyła sama sobie, Filcia promieniała. Przed rozstaniem przytuliła się do swej dawnej pani.

— Paniuńciu moja złocista, jakby się znów odmieniło, paniuńcia za mnie też zaświadczy?

— Naturalnie, że zaświadczę, Filciu.

I Don Kiszot uściskał serdecznie swego Sanszo Panszę.

Z. K.

SNY O TEATRZE

(Dokończenie ze str. 2-ej)

wiek o majestatycznej staturze, nazywał się Mglej, że że zaś pacjenci jego były niewymagający i niekoniecznie mu się narzucali, miał dużo czasu na ten swój teatr. Grywano tam rzeczy bez obawy zgorszenia młodzieży.

Już jednak z objazdową trupą teatralną kulawego Pilarskiego było gorzej, mimo jednak zakazów, wciskaliśmy się (z duszą na ramieniu) na każde jego przedstawienie. Czego ten ofiarny człowiek nie wystawiał? Ilu ludzi z późniejszego, młodszego pokolenia, widziało na scenie takie np. dramaty Ibsena, jak „Mały Egolf" lub „Jan Gabriel Borkman". Myśmy je widzieli u Pilarskiego.

Znacznie później miał teatr lwowski Karola Adwentowicza, bóstwo wszystkich pensjonarek, które mu żyć nie dawały, uganiając za nim po ulicach z bukietami kwiatów. Świetny ten artysta grał główne role w całym cyklu utworów wielkiego Norwega, wymienionych jednak dwóch jego rzeczy nie pokazał.

Dyrekcyjne prześladowania naszych tęsknot teatralnych sprawiły, że ten i ów myślał o przerwaniu nauki i puszczeniu się w świat, w ślad za wędrownymi aktorami. Tak zresztą zrobił znacznie starszy od nas student seminarium nauczycielskiego, Kazimierz Kamiński. Jego to sentyment do miasta, w którym nie chciał być nauczycielem ludowym, sprawił, że wpadał od czasu do czasu (co traktował chyba jako swój over-time) z jakimś dorywczym zespołem, żeby ucieszyć nasze oczy pokazem wielkiej gry aktorskiej („Walka motyli", „Pan Dyrektor" i in.) Dzięki też niemu widzieliśmy (na scenie rzeszowskiego „Sokoła") „Wesele" w rok czy dwa po krakowskiej premierze (w 1901 r.).

To „Wesele", w którym Kamiński grał rolę „Stańczyka", tak nam przewróciło w głowie, że postanowiliśmy zagrać przynajmniej wyjątki, w ramach naszego gimnazjalnego „Koła miłośników sceny". Z tym „Kołem miłośników sceny" była ta bieda, że brak miłośniczek bardzo nam utrudniał rozmach repertuarowy. Trzeba było tak dobierać i wykrawać sceny z rozmaitych utworów, najczęściej ze Słowackiego, żeby się obeszło bez ról kobiecych, a nikt przecież przed 50 laty nie słyszał o dobrodziejstwie gimnazjów koedukacyjnych.

W tych więc warunkach spod znaku „nie masz niewiast w naszej chacie" i nasze „Wesele" musiało być bardzo skurtyzowane. Pożyczył nam teatr lwowski (krakowski nie chciał) potrzebny zestaw kotiumów (za poręką późniejszego kpt. Leg. Milki, który zginął pod Marcinkowicami), no i na nasze nieszczęście ruszyło „Wesele".

Już jednak w czasie prób miałem złe przeczucia i co do mojej roli Stańczyka i w ogóle. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że po tej sokolej scenie chodzi za mną bezszelestnie duch smutnego królewskiego wesołka i po cichu skanduje: „błaznów coraz więcej macie, nieomal błazeńskie wiece!... Salve bracie"!.. Prawdę mówiąc, to na naszym gimnazjalnym wiecu „Koła miłośników sceny" nieznaczną tylko większością przeszedł wybór „Wesela". Ja sam poddawałem raczej wyjątki z „Marii Stuart" i paliłem się do roli Nicka. Położyliśmy to „Wesele" na obie łopatki, aczkolwiek szkolna publiczność — mamy, taty, babcie, ciocie i (najważniejsze dla nas) siostry oraz kuzynki młodocianych „aktorów" bardzo nas oklaskiwały.

W znacznie gorszej sytuacji, bo nie w zespole lecz solo, znalazł się inny mundurkowy „artysta" w czasie grania przez nas wyjątków z „Kordiana". Stał właśnie na najwyższej iglicy Mont-Blanc i ledwie rozpoczął swoją improwizację: „Jam jest posąg człowieka na posągu świata", gdy jedna z niższych „turni" zaczęła się ze złowrogim chrzęstem obsuwać, odsłaniając całą podszewkę naszej wysokogórskiej konstrukcji, sporządzonej z grubej tektury, pomalowanej na kolor alpejskiej przyrody. Zanim zdołano spuścić kurtynę, nieszczęśliwy Kordian stał przed publicznością jak świeczka, na swojej „iglicy", którą stanowiła wysoka, dwurzędowa drabina, używana przez nas na codzień do gimnastycznych ćwiczeń.

O sztuko, sztuko, zanim przytulisz do swojej piersi, jak pelikanica, spragnione twojej ożywczej krwi pisklęta, przez ileż zmartwień, upokorzeń i rozczarowań przebijać się do ciebie muszą!...

Jakkolwiek by tam jednak było, „pisklęta" stawały się coraz bardziej wszędobylskie i przemądrzałe, bagatelizowały zakazy w sprawie przedstawień niewskazanych dla młodzieży, rygory szkolne też nie od parady istniały i z konieczności wysyłano dorywcze profesorskie kontrole, a w takich warunkach wcześniej czy później musiał przegrać lekkomyślny młodzik. Ten i ów przyłapany ciężko odpokutował za „Przemysł pani Warren" Shawa, inny wplątał się bez ratunku „W sieci" Kisielewskiego (Augusta nie Józefa), mnie z kolei dobił Kaweckiego „Dramat Kaliny". Widać jedno nieszczęście pociąga za sobą drugie, prawem serii. Trudno, zły los sprzedał mnie tanio naszemu matematykowi. Nazywał się Prysłopskij. Cóż innego można się spodziewać od matematyka i o takim nazwisku?...

Kacie, czyń swą powinność — pomyślałem, gdy ta nieszczęsna kontrola wpadła na galerię w czasie przerwy i znalazła usunięty w najdalszy kącik, pół-studenta w mundurku licząc od dołu, a od pasa w górę, pół młodego rzezimieszka, w jakimś spłowiałym, wypożyczonym preferansroku i z ogromnym fontaziem pod szyją — dla niepoznaki. Wszystko co po tym. to już tylko jeden wielki ogród udręczeń. Po konferencji profesorskiej (byłem już wielokrotnie upominany) katastrofalne obniżenie noty z „zachowania". To się w tych odległych czasach nazywało: „obyczaje naganne". Coś jak nagan, wycelowany prosto w ucho delikwenta, ze zjadliwą poradą, że powinien odejść precz. To się znów nazywało: "Consilium abeundi". Śliczna porada...

Ja ci radzę, jak uważasz, lepiej jednak będzie dla ciebie, gdy opuścisz gimnazjum sam, zanim cię przy pierwszej lepszej sposobności wylejemy. W ten sposób sądem prawie że skorupkowym skazano winowajcę na banicję, oddając go w ręce Rady jego, t.j. Rady Szkolnej Krajowej, z siedzibą we Lwowie, a z władzą na całą ówczesną Galicję i Lodomerię, wraz z przynależnościami. Kazali napisać prośbę o przyjęcie do innego gimnazjum i czekać. Nie, nie czekałem. Przeczuwałem złe zaopiniowanie tej prośby przez Dyrekcję i pojechałem sam do Lwowa, żeby ratować co się da. Rozpytawszy tam, gdzie, u kogo i kiedy, dostałem się przed właściwe oblicze. Dworski, nazywał się ten szlachetny i dostojny pan, który jako Inspektor-referent tego rodzaju brzydkich spraw, nie tylko że nie ofuknął nieszczęśliwej ofiary teatrów, ale obiecał we właściwym czasie przychylnie prośbę załatwić. Niedługo też młody exul rzeszowski otrzymał przydział w Krakowie, w gimnazjum Św. Jacka, przy ul. Siennej. „Sub sancti Hyacinthi patrocinio", jak głosił napis na bramie.

Byłem szczęśliwy, Wydawało mi się, że całe gimnazjum pachnie hiacyntami. Po krótkim pożegnaniu rodzinnych kątów, „węzełeczek mi dali do ręki i zrobili krzyżyczek nad głową i pożegnał chateńkę mateńki i w świat poszedł zieloną dąbrową"... Jota w jotę tak się wszystko odbyło, jak w tym pięknym wierszyku Konopnickiej, z wyjątkiem „zielonej dąbrowy". Zbyt daleka droga i szkoda butów. Pojechałem pociągiem. Otworzyła się przede mną zaczarowana księga bajecznie kolorowego Krakowa.

Józef Frankiewicz

FILOZOFOWIE ODRODZENIA

(Dokończenie ze str. 3-ej)

stkich odegrała ważną rolę w rozwoju ruchów społecznych w ciągu następnych stuleci.

*

Drugim nurtem filozofii humanistycznej był sceptycyzm. Na wielki system sceptyczny w obrębie tej epoki było jeszcze za wcześnie. Renesans nie stworzył bowiem wielkich systemów filozoficznych, które w swych konsekwencjach dochodziły by do sprzecznych wyników, co jest jedną (ale nie jedyną) z przyczyn powstania systemów sceptycznych. — Brak tego czynnika zdecydował, że sceptycyzm renesansowy miał charakter praktyczny a nie teoretyczny.

Dwu szczególnie myślicieli wyróżniało się na tym polu: Michał de Montaigne (1536 — 1592) i Piotr Charron (1541 — 1613). Sceptycyzm Montaigne'a rodził się z dążenia do znalezienia sztuki wygodnego życia. Charron, który w pewnym sensie kontynuował sceptyczną filozofię Montaigne'a, chciał ją pogodzić z chrześcijaństwem.

* * *

Mimo, iż filozofowie z okresu renesansu tak niechętnie odnosili się do filozofii średniowiecznej, zarzucając jej lubowanie się w kulcie dla autorytetów, nadużywanie sylogizmu, to jednak scholastyka w formie, jaką jej nadawał św. Tomasz z Akwinu, ciągle istniała, choć miała mniej zwolenników. Wśród wyznawców najwybitniejszego znalazła w Francisz Suarez, jezuicie hiszpańskim, który pewne zagadnienia rozwijał po swojemu, gdyż chciał scholastykę uprościć i dostosować ją do empirycznych tendencji wieku.

* * *

Renesans nie wydał myślicieli, którzy stworzyliby wielkie systemy myśli. Stworzył jednak atmosferę, wskazał kierunki i drogi, po których poszła myśl filozoficzna w późniejszych stuleciach. Po wtóre upowszechnił myśl filozoficzną, która w wiekach średnich zamykała się w klasztorach i uniwersytetach. Po trzecie — zeświecczył naukę i filozofię. Przez te swe znamiona zadecydował o charakterze nowożytnej kultury zachodnioeuropejskiej.

Jan Wepsięć

CIOSY I UNIKI

(Dokończenie ze str. 1-ej)

kładem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. Najwartościowszymi pozycjami tego zbiorku są śliczne wspomnienia Mariana Czuchnowskiego o teatrze amatorskim w rodzinnej Łużnie oraz bibliografia prac o teatrze w opracowaniu dra Tymona Terleckiego. Bardzo rzetelne jest też tegoż autora zestawienie sztuk na scenę amatorską, chociaż przesadnie łaskawe dla błahych ramot emigranckich.

Poza tym tomik wypełnia gorąca przedmowa dr Zofii Kasprzyckiej, bardzo pracowite, ale zbyt elementarne „Wskazówki dla reżysera teatru amatorskiego" Wacława Radulskiego oraz napuszone orędzie o „Teatrze w naszym życiu" dra Tymona Terleckiego. Mówiąc językiem kombatanckim, praca W. Radulskiego jest zbyt kapralska, a praca dra Terleckiego bardzo zbyt generalska.

Ale o czym to mówiliśmy? — Więc Nowakowski zupełnie nie rozróżnia ortografii i ortoepii, pisowni i wymowy. Poprawną fonetykę określa jako „błędy wymowy". Istniejące tylko na piśmie znaki usiłuje narzucić w mówieniu. „Na złość uczonym — powiada — a na chwałę językowi polskiemu winniśmy zacząć trenować się w wymawianiu ł".

Trudno pojąć, dlaczego akurat fundamentem chwały języka polskiego ma być ł, a nie n.p. równie zaginione samogłoski zwężone (t. zw. popularnie pochylone) albo rz albo h dźwięczne. I niby co piernik powszechnej wymowy ma do wiatraka uczonych? Uczeni nie rządzą językiem ani go wymyślają, ale tylko badają.

Pomysły dra Zygmunta Nowakowskiego są w ogóle gwałceniem języka, nie mówiąc o tym, że są nonsensem fonetycznym. P. dr Nowakowski twierdzi n. p. z zimną krwią, że nie tylko można, ale nawet trzeba wymawiać: „z czasem", „z ciebie" (fonetyka czyli przyroda języka polskiego **zmusza** nas do wymowy ‚szczasem', ‚ściebie' (nie wprowadzamy tu oczywiście poprawnej transkrypcji fonetycznej), co nie jest żadnym błędem ni niedbalstwem, ale **prawem obowiązującym** ludzi używających polszczyzny).

Są to wszystko sprawy elementarne, że aż wstyd na ten temat polemizować. W całym wykładzie dra Z. Nowakowskiego o wymowie na scenie błąd ściga błąd. Oto Mickiewicz nie może być żadnym wzorem ortografii, gdyż pisał bardzo nieortograficznie (wówczas ortografia polska była bardzo swobodna). Nie Wojciech Bogusławski wprowadził na scenę gwarę, ale Baryka w pysznej komedii „Z chłopa król". Twierdzenie, że przed Wojciechem Bogusławskim nie było teatru polskiego brzmi mniej więcej tak, jak dowodzenie, że przed Antonim Bogusławskim nie było poezji polskiej. Doszukiwać się metryki iloczasowej i jakiejś mistyki muzyczno-metrycznej w języku polskim, to fantazja tania i niepożyteczna.

Bardzo to jakoś żenujące, kiedy doktór polonistyki facecje i anegdoty podaje za wiedzę.

STALIN okazał się o wiele lepszym językoznawcą, niż Zygmunt Nowakowski. Jego uwagi p.t. „W sprawie marksizmu w językoznawstwie" są niewątpliwie inteligentne i słuszne, zwłaszcza, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa wyszły spod ręki jakiegoś moskiewskiego lingwisty.

Coś oczywiście jest w nich i ze Stalina. Cała pocieszna n. p. maszyneria dialektyczna t. zw. bazy i nadbudowy, to typowy koncept z narksistowskiego kalendarza. Albo porachunki z religią a propos języka w rodzaju: „Zupełnie słuszne jest, że idee, wyobrażenia, obyczaje, zasady moralne, religia, polityka burżua i proletariuszy są wręcz przeciwstawne". Ciekawe zwłaszcza te dwie religie: całkiem inna burżuazji i całkiem inna proletariatu.

Ale najbardziej stalinowskie są „naturlauty" po każdym niemal rozdziałku jego skąd inąd słusznej w zasadzie rozprawy. Ilekroć bowiem generalissimus mówi o zdaniach odmiennych od jego własnych poglądów, zaopatruje je takimi mniej więcej uwagami: „Dziwne, że niektórzy towarzysze sądzą inaczej" lub „Okazuje się, że szanowni towarzysze wypaczyli poglądy Lenina" albo „Czyżby nasi towarzysze nie byli obeznani ze znanym sformułowaniem marksistów" itd. Wiemy, co to oznacza dla niefortunnych gorliwców marksistowskiego języka.

Ale przynajmniej Stalin zna elementarz języka i wie, że język to nie kuchnia. Wątpić należy, czy myśli też (choćby powinien), że językowi nie da rady nawet bolszewicka dyktatura. Jak każdemu dziełu duszy.

Krakus